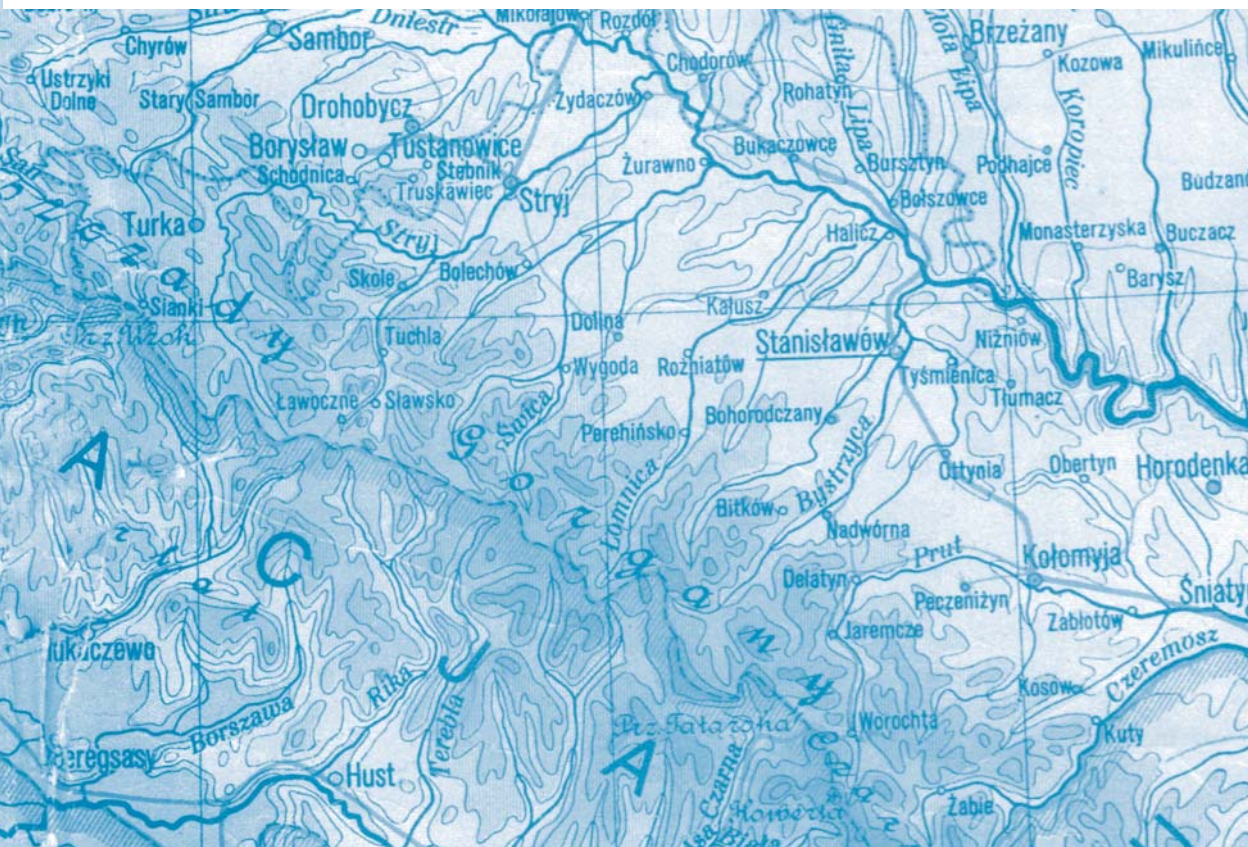


CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



2

(74) 2013

Na rocznicę 11 lipca '43 piszą: J. Białowąs o Lekarzu Dusz i Ciało ♦ O tragediach na wschodzie E. Siemaszko i A. Dwojak ♦ Rozmowa z Aleksandrą Szemioth o dramacie deportacji ♦ Przemyslenia profesorów R. Legutki i B. Hadaczka ♦ Wspomnienia prof. R. Węgrzynowicza i ks. J. Pyrka ♦ Łyczaków krok po kroku ♦ Sylwetki ♦ Książki

RÓŻNE SPRAWY WCZORAJSZE, DZISIEJSZE I JUTRZEJSZE

Ten numer nie jest wesoły. Ale powiedzmy od razu, że żaden z numerów kwartalnika „Cracovia–Leopolis” nie może zadowolić tych Czytelników, którzy oczekiwali by bałaku i batiarskich piosenek uważając, że to one „ratują kulturę Lwowa”. Chodzi zresztą nie tylko o kulturę, także o dramatyczną historię naszych wschodnich stron w ogóle. Dramatyczną, lecz bogatą – bo z jednej strony najazdy, wojny, ludobójstwo, deportacje, z drugiej właśnie ta nieprzerwanie tworzona wielka kultura: architektura, sztuka, literatura, muzyka. To wszystko trzeba ratować, a w tym także sztukę ludową, folklor: strój ludowy, piosenki i ów bałak. Więc nie ograniczajmy się do niektórych tylko przejawów kultury i nie różniujmy kultury wielkiej i „małej”.

Wróćmy do historii, tej dramatycznej. W tym numerze jest jej wiele. Przede wszystkim zbliża się ważna data – **11 lipca**, którą uznano za symboliczną dla pełnych okrucieństwa wydarzeń, które miały miejsce w latach 1943–1944 na naszych południowo-wschodnich Kresach – głównie na Wołyniu i we wschodniej Małopolsce, w województwie tarnopolskim, także lwowskim i stanisławowskim. Pisaliśmy już o tym wiele, teraz jednak będziemy tę przypadającą wkrótce 70. rocznicę przeżywać w sposób szczególny.

W naszym kwartalniku wszystko to znalazło mocne odbicie. Już na samym wstępie prof. B. Hadaczek podsumowuje nasze trudne losy. Potem piszą o tym tak znane osoby, jak pp. E. Siemaszko, J. Białowąs i A. Dwojak. Zwróćmy szczególną uwagę na istotę dramatu ks. Szczepankiewicza, o którym opowiada J. Białowąs.

Równoważnikiem relacji o ukraińskim ludobójstwie jest wstrząsająca rozmowa z p. Aleksandrą Szemioth, sybiraczką.

Do najważniejszych tematów poruszanych w tym numerze należy bogato ilustrowane ukazanie na kilku przykładach renowacji zabytkowych – historycznie i artystycznie – obiektów nagrobnych na Cmentarzu Łyczakowskim.

Niezwykle istotne uogólnienia prezentuje tekst prof. R. Legutki, ale także – choć nie związane z głównymi tematami numeru – rodzinno-historyczne wspomnienie prof. R. Węgrzynowicza i ks. J. Pyrka o pedagogu M. Eminowiczu.

* * *

Przeglądając redakcyjne archiwum natrafiliśmy na tekst mailowy z 2002 r., nadany przez *Staszka Kosa*, który pisze:

Rozproszeni po II wojnie światowej przedwojenni mieszkańcy Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich znaleźli się w różnych miejscowościach, krajach, kontynentach. Wielu z nich już nie żyje.

Mamy obecnie do dyspozycji w postaci internetu narzędzie umożliwiające szybki i niekłopotliwy kontakt międzyludzki. Może moglibyśmy więc zainicjować akcję stworzenia listy rozsypanych po świecie lwowiaków i kresowiaków, zawierającej podstawowe dane osobowe (imię i nazwisko, nazwisko panieńskie dla kobiet, data urodzenia i śmierci), informacje o miejscu zamieszkania przed wojną, zawód itd.

dokończenie na III s. okładki



Ks. HENRYK MOSING (MOSSING, 1910 Lwów – 1999 Lwów). Absolwent wydziału lekarskiego UJK, mikrobiolog, doktorat 1937. Praca w Warszawie, a od 1939 w Instytucie Badań nad Tyfusem prof. R. Weigla we Lwowie. Podczas kolejnych okupacji pełnił kierownictwo naukowe placówki. Odbывał podróże służbowe po całym ZSRR i zarazem niejawnie przygotowywał głównie młodzież do odnowienia życia religijnego. W 1961 w Laskach kard. Wyszyński udzielił mu tajnie święceń (jako franciszkanin o. Paweł), co umożliwiło pełnienie posługi kapłańskiej, szczególnie na bliskich Ziemiach Wschodnich. Założył w konspiracji stowarzyszenie formacyjne, które zaowocowało kilkoma powołaniami.

IRENA BERG (1926 Szumsk – 2005 Tarnopol). 1940 wywieziona z rodziną do Kazachstanu; po repatriacji nie wyjechała do RP. Ukończyła szkołę w Szumsku, studia med. we Lwowie. Praca w Tarnopolu jako lekarz-rentgenolog, a zarazem zaangażowana w pracę społeczno-patriotyczną w Tow. Kultury Polskiej. Stworzyła bibliotekę polską, zorganizowała ratowanie grobów, rozwinęła opiekę nad potrzebującymi rodakami. Była przewodniczką dla przybywających Polaków, wyjeżdżała na spotkania do RP. Prezydent nadał jej polskie obywatelstwo.



GABRIEL SOKOLNICKI (1877 Koszewy k. Kutna – 1975 Lwów). Ukończył szkołę realną w Łodzi, wyższe studia w Darmstadt (Niemcy), wydział elektrotechniczny, dyplom 1900. Od 1901 we Lwowie, od asystenta po profesurę w 1921, później dziekan wydz. mechanicznego, 1931–32 rektor Politechniki. Stworzył szereg podstawowych projektów dot. elektryfikacji COP, głównych aglomeracji miejsko-przemysłowych, potem (1929) całego kraju. Po II wojnie pozostał we Lwowie, nadal jako profesor, 1965 emerytura. Pobyt w willi w Brzuchowicach uchronił go w 1941 przed zamordowaniem na Wulce. W domu tym urządzali Sokolnicy wakacje dla polskich dzieci ze Lwowa.

MARIA JAROSIEWICZ (1888 Zagórz n. Sanem – 1983 Lwów). Studia na wydziale humanistycznym UJK we Lwowie, ukończone 1911; w 1924 doktorat z filozofii tamże. Uczyła geografii w szkołach lwowskich: przed II wojną w gimnazjach, po wojnie w szkołach z polskim językiem nauczania. W jej domu – podobnie jak w domach innych nauczycieli – odbywały się w latach powojennych niejawnie lekcje historii Polski.



IRENA SANDECKA (1912 Humań, Podole ros.-ukr.) – 2010 Krzemieniec). Po rewolucji z rodziną uszła do RP, osiadła w Krzemieńcu, ukończyła seminarium naucz., a potem w Krakowie studia na UJ. Praca w kilku miejscach (m.in. w Belgii) do wybuchu II wojny. Za kolejnych okupacji podejmowała różne prace, ale przede wszystkim zaangażowała się w niejawną działalność społeczną, głównie związaną z nauczaniem młodzieży i współpracą z księżmi. Opracowała elementarz, który krążył w odpisach. Stała się liderką polskiej wspólnoty w Krzemieńcu. Pisała wiersze.

Bolesław Hadaczek

Duma o Kresach Rzeczypospolitej (osnuta na motywach literackich)

Ta kresowa opowieść wiąże się z wszystkim, co – słusznie czy niesłusznie – nazywa się dziś Kresami. A przecież są „kresy” historycznie rzeczywiste – tam na dalszym wschodzie, za Zbruczem (czy jeszcze dalej) i za linią ku północy aż po Dźwinę. I są nasze Ziemie Wschodnie, na zachód od tej linii. A na tych Ziemiach jest Lwów i Wilno, Nowogródek, Grodno i Krzemieniec, Łuck, Tarnopol i Stanisławów. Jest Braślowszczyzna i Wileńszczyzna, Podlasie, Wołyń i Podole, Pokucie i Huculszczyzna.

Pamiętajmy o tym czytając. Bo to jest Polska właśnie, jak napisał Stanisław Wyspiański.

Kresy bogate, stare, piękne słowo. Jest w nim obszar i przestrzenność, bezkres równin falujących, oddalenie od świata i wicher stepowy. Dla każdego z tamtej strony zawiera w sobie treść ojczystej ziemi, jej barwy, kształt i woń. Hej, rubieże dalekie Rzeczypospolitej, hej, Kresy ciche, puste, zdławione, wymordowane, wysiedlone, zamarte dla szpiegowskiego oka triumfującego łupieżcy-kata, kordonami bagnetów i ziemskiej mocy, dokumentami rządów potężnych i kongresów od Macierzy oddarte i z kart wykreślone! Nie zdoła mi nikt was unieść z wiernej pamięci! Jak perły w głębinach oceanu spoczywacie na dne serc naszych, owiane wdzięcznością za to, żeście były.

Ziemię bezkresna, żyzna i szeroka, urodziwa a urodzajna, leniwa a senna, tęskniąca a śpiewna, bezwolna a mocna – nad wszystkie bliska i droga. Ziemię najmilsza mimo prześladowań. Jam dziecię Kresów, wytwór ich ducha, spadkobierca tych, co oni za nią walczyli i polegli. Ziemię cudna, urocza. Mogą ją wrogie armie tratować i palić, mogą jej dzieci wywieźć, domostwa obalić, zmienić ją w pustynię – przygniatana stokrotnie, po stokroć odżywa. Oto jest ziemia moja, bo nie ma ziemi wybieranej, jest tylko ziemia przeznaczona, ze wszystkich bogactw – cztery ściany, z całego świata –

tamtą stroną. Można mnie stamtąd wyrzucić, można mi kazać nie wrócić, wygnać. I powrócę, i odjadę, znów wrócę – do ziemi, bez której umarłbym z żalu.

Przewalały się nad Kresami burze dziejowe, były pioruny i rzały trojańskie konie. Tęgo muzykowały chochoły, a cyklopi z jednym okiem odrywali biel od czerwieni. Bolesław Chrobry zbudował w XI wieku cesarstwo polsko-słowiańskie środkowe i zasiadł na kijowskim zamku Włodzimierza Wielkiego. Wojska Bolesława Śmiałego miały wygląd ruski, Jagiełło ochrzcił Litwę i Zmudź, a jego żona Jadwiga objęła pod swe berło Ruś Czerwoną. Ziemię polskie połączone z ziemiami litewsko-ruskimi stały się potęgą na niezmiernych obszarach. Polska, Litwa i – Rzeczpospolita Jagiellońska za sprawą Kresów była państwem wielu narodów, kultur i wier. Polszczyły się rusko-litewskie rody magnackie bez przymusu, a wraz z nimi rodziny szlacheckie. *Wszyscy dobrowolnie poszli w Lachy.*

Rycerze kresowi zahartowani w bojach, gotowi byli oddać życie za Ojczyznę i dla własnej sławy. Strzegli granic na dalekiej Ukrainie, chodzili w żelazie od stóp do głowy, z bliznami na piersiach i twarzy. Takim rycerzem był Mohort, przeszło stuletni *strażnik hetmańskiego szlaku*. Ten „kamienny narodowiec” wydawał się posągami, siedział na koniu w zbroi, groźny i czujny. Wojowali nieustraszeni Strusowie, Korecki, Chmielecki i niezłomny Jarema. Walczył hetman Żółkiewski, co piersi swymi cały kraj zasłaniał, i Sobieski pełen nieśmiertelnej chwały.

Kresy obrastały w mity. Mit jasny idealizował je, na nich urzeczywistniały się bohaterstwo i poświęcenie dla Ojczyzny, szybko dorabiano się fortun i decydowano o losach całego kraju. Kresy stały się symbolem potęgi i chwały Rzeczypospolitej: były kolebką narodu polskiego, tam toczyły się walki Scytów i Sarmatów z wrogami, w stepo-

wych mogiłach spali snem wiecznym nasi najstarsi przodkowie, stamtąd zaczęły się wędrówki Polan na Zachód. Tu narodzili się następcy Homera, lirnicy i wieszczowie czerpiący natchnienie ze źródeł pierwotnej Słowiańszczyzny.

Na *wszechsłowińskiej królowej laszej* (na Ukrainie, Podolu i Wołyniu) samo powietrze upajało jak wino. *Co blasku! co krasy! co woni! Co ptactwa! I gwaru, rozgwaru!* Na wiosnę wyglądała jak kielich jednej róży, pełna woni, barw i dźwięków: *Czego dusza zapagnie, płynie tu obficie. Ach, ile tu powabów, uciech i słodyczy! Oko ich nie przepatrzy i myśl nie przeliczy. (...) Ziemia tu wspaniała, groźna, świetna, skromna, tęskna, cicha. Dziwi, wznosi, rozpacza, skarży się, uśmiecha.*

Dorobiły się też Kresy mitu ciemnego, który rozrastał się coraz bardziej pod wpływem nieustających wojen i buntów, wrogości i nienawiści. Już pod koniec XVI stulecia zaczęły rozbrzmiewać złowieszcze hasła antypolskie, nawołujące do wypędzania i zabijania. W XVII stuleciu Kresy traciły atrybuty Arkadii: *Co za świat, co za świat! Groźny, dziki, zabójczy. Krew w nim tańsza od wina, człowiek tańszy od konia. Świat, w którym łatwo zabić, trudno nie być zabitym. Kogo nie zabił Tatarzyn, tego zabił opryszek, kogo nie zabił opryszek, zabił go sąsiad.* Katorgami i zsyłkami na Sybir kończyły się nasze powstania niepodległościowe w XIX stuleciu, a nieludzkimi okrucieństwami enkawudzi- stów i banderowców – wiek XX.

Kresy stały się kolebką i ostoją Sarmatów mających wąsy i kontusze, a przede wszystkim szczerą, polskie dusze: *Kiedy zbrojno – to ze szablą, Kiedy z miną – to już z diabłą, Kiedy strojno – to we złocie, Gdy pracować – to już w pocie, Bankietować – to już szumnie, Sejmikować – to już tłumnie, (...) kiedy order – to za bliźnę, Kiedy cierpieć – za ojczyznę.* Na Kresach powstał nasz romantyzm, który żywił się wieloetnicznym tworzywem tamtejszych ludów, ich kolorytami historyczno-lokalnymi: *Od stepu przyszły szumy, Wiatrów smętki i dumy, A od Litwy – szum drugi sosnowy. Ziemi powonna siła – Oto nas upowiała I wonnemi oblała balsamy!*

Koloryty Kresów znalazły szczególny wyraz w piosenkach rusko-polskich (dumkach,

szumkach), melancholijnych i słodkich, sentymentalnych i lirycznych, śpiewanych po miastach i wsiach. Wyrastały one z heterogenicznej rzeczywistości kresowej i z wielowiekowego współżycia wielu narodów. Śpiewano je po polsku, ukraińsku i po białorusku, w języku mieszanym, gwarą polsko-ruską w tekstach przerabianych i przekładanych w całości lub częściowo. Były to piosenki ludyczne, frywolne i żartobliwe, z mnóstwem wykrzykników, pozdrowień i życzeń. W znakomitej większości anonimowe i wariantne. Bujne życie towarzyskie na Kresach sprzyjało karierze owych piosenek, a ich walory biesiadne zapewniały niektórym miejsce w aranżowanych repertuarach rozrywkowych do naszych czasów.

Dzisiaj rozpamiętujemy życie spędzone na Kresach. A wygląda to tak, że zakolysze się człowiek we wspomnieniach, w marzeniu, że przyjdą do niego Kresy we snach. Ustroją się w jakiś zachód słońca, zaturkoczają daleko furą na gościńcu, zaskrzypią lodem pod obcasami na zimnej ścieżce. I już są tutaj, i już są z nami. Kresowanie opowiadają drobiazgowo, co kiedyś przeżywali na Kresach. Generują narracje zbliżone do magicznego realizmu. Fundują sobie częste odwiedziny – podróże – wycieczki w rodzinne strony w wyobraźni – i jadą bez tchu.

Przekraczają granice w *czapce niewidce tęsknoty*, pod wpływem zewu krwi i przeczuć odziedziczonych po rodzicach – jakby to pamiętali z innego istnienia. Przenoszą się tam w rozmaitych okolicznościach: w sali reanimacyjnej szpitala i w stanie psychicznej nieważkości, ożywiając stare fotografie, karty ewidencyjne i cudze relacje. Wystarczy jedno czyjeś słowo, intonacja czy gest i już powracają. Pisarze wykorzystują konwencje sylwy, eseju, opowieści wspomnieniowej, pamiętnika i reportażu, komponują mozaiki ze scenek i anegdot regionalnych, wypisów z kraju lat dziecińczych. Jedni wspominają kolegzystencję Polaków, Białorusinów, Żydów i Rosjan w dawnej guberni mińskiej; litewskich „żubrów”. Drudzy wędrują ścieżkami



Polesia zasłuchani w jego echa, zapatrzeni w czary i opary z bagien wstające. Wykarczowani zza Buga i Sanu przywołują swoje miasta, miasteczka i wsie, pomordowanych braci i siostry, rozstrzelanych, zesłanych i zaginionych. Opisują *wołyńską niezabudkę, podolskie korzenie i krwawe żniwa za Styrem i Horyniem*, rozpad kresowego świata i rozpędzanie ludzi na cztery wiatry.

Babcia opowiada wnukowi o słynnej parafii Gliniany, starożytniejszej być może od samej Warszawy: spalona przez Tatarów sześćdziesiąt razy, nie licząc potem Moskali, Turków i Kozaków, Węgrów, Mołdawian i Wołochów, białych, bolszewików i petlurówców, mazepińców, banderowców i bulbowców, akowców, partyzantów radzieckich i znajomych chłopów. A teraz tam bieda, choć ziemia najlepsza w Europie. Babcia jest mesjanistką i wierzy, że Polska będzie ostoją pokoju w nagrodę za cierpienia i wiarę, obejmie skrzydłami matczynymi wszystkie ludy od morza do morza w miłosnej unii z Litwą, Ukrainą i Białorusią, a może i innym jeszcze narodem. Przypominają wywózkę na Sybir – *I potem już tylko trakt, wciąż pisk wozów, chrobot sań, wciąż krzyki konwojujących nas enkawudystów. Te krzyki do dzisiaj słyszę. Ucieczkę przed banderowcami. – Rankiem tatunio konia zaprzęgli, nas samych na furę i wio dalej. Przykrył weretami, słomą, a potem gnojem nas troskliwie obrzucił, taj przyklepał. W całości – nu niby, że gospodarz w pole obornik wywozi.*

Dominuje nostalgia. Marian Hemar na emigracji przeistoczył się w dwóch ludzi: w jednego, który ze Lwowa wyjechał, i w drugiego, który w nim pozostał na zawsze myślą rzewną i wspomnieniem czułym. Wykreował dwa światy: terażniejszy wygnańczy i miniony lwowski. Pamięć męczyła go bez końca, a ponad Lwów nie było tematów ważniejszych, powracał przy każdej sposobności w protestach, dumaniach, w gniewie i śpiewie, w napomykaniach i narzekaniach. Andrzej Chciuk wykreował Wielkie Księstwo Bałaku na pamięciotęsknocie, która męczy, szarpie i trawi, a zarazem przynosi pocieszenie. Coraz to wydobywa ze swej fenomenalnej pamięci jakąś scenę, zdarzenie lub zajście. O pamięć modli się do Marii Panny z Kochawiny pod Stryjem. Prawie mistyczny Drohobycz wciąż kroczy za nim:

krajobrazy, ludzie i ich powiedzonka, wiedza potrzebna i niepotrzebna. Za Nowogródczą tęsknił Stanisław Baliński: za białoruskim pejzażem, śnieżycami i Krzemieńcem, za nadniemeńskimi dworkami, basztą zamku Litawora i za cerkiewką. Do Wileńszczyzny wyrwało się serce Zofii Bohdanowiczowej: do Wilna w obłokach i Wilii szumnej, do dyrwanów i Ostrej Bramy – *Boże, niebo po śmierci na Wilno mi zamień.*

Kresonostalgia oszukuje nierządki i gnębi, ale też pomaga żyć. Jest siłą duchową, uczuciem energetyzującym i patriotycznym. Wyrasta na pamięci widzącej, słyszącej i wskrzeszającej przeszłość. Wiersze Kazimierza Wierzyńskiego wyrażają „psie wycie” za ziemią karpacką, spazm, do którego wstyd mu się przyznać. Czuł się rozwłóczonym po świecie przybłądą, „wykruszyną nostalgii”, krążył nad krajem maleńkim i ubogim i nigdy się już od niego nie oderwał. Grzały go podkarpackie strony i stryjskie olszyny, widział jak mlecz puszysty leciał i pola w malwach żółtki, jak mgły jarami sunęły nad Dniestrem, a stary Bojko przewracał się we śnie. Najbardziej brakowało mu wędrowek po Karpatach Wschodnich: *Ach, gdyby można pójść jeszcze raz krętą i żółtą ścieżką, wydeptaną na zboczach przez krowy, albo przez gęste łąki po pas, pod czarne ściany buków i sosen w Karpatach.*

Dzisiaj na ziemiach kresowych dawnej Rzeczypospolitej wciąż jeszcze rodzą się wiersze polskie pisane przez Polaków żyjących na Litwie, Białorusi i Ukrainie. Wiersze dokumentarne i sentymentalne, broniące „biało-czerwonej barwy”: proste jak ścieżka przez żyto i serca westchnienia, zwykle jak pola i chłopska dola; czułe jak ręce matuli, czyste jak wody źródlane i pierwsze kochanie. Opiewają ojcowiznę rozdartą, zawsze drogą i piękną nad Wilią, w Krzemieńcu, we Lwowie czy Trembowli: potężne dęby Dewajtisy, kwitnące trawy koło Tarnopola i przedwiośnie wileńskie, lato nad Ikwą i jesień na Polesiu. Tam borowiki wychodzą na drogę, deszcz szłochą, a wiatr hula jak młodzik. Tam kwitną chabry w polu żytnim, płaczą derkacze, a woń jaśminu bywa tak gęsta, że ją widać. Tam pachnie chlebem, słowiki śpiewają, a żaby koncertują. Przekonują o swym zakorzenieniu w polskości na ojczystej ziemi: gdy ich spalą, odrodzą się z popiołów, gdy zatopią, z dna błota wy-

kiełkują wzwyż, ponizani nie schylą kornie czoła, Wilna też *nie wykołują z ich duszy*. Żalą się, że Polska zapomina o nich, odtrąca i nazywa ruskimi, głoszą pochwałę mowy ojczystej, której dochowują wierności, mówie świętej jak szept pacierza. Często są to wiersze religijne: o kaplicy w Solecznikach, kościele świętojańskim w Wilnie i Najświętszej Pannie w Ostrej Bramie; strofy modlitewne o wigiliach na Syberii, o wygnaniu i katyńskim lesie. Przebija z nich gorzka skarga na osamotnienie, na pozostawanie obcymi dla sąsiadów zza ściany i na życie nie przeżyte, a przeboleane.

Po drugiej wojnie światowej Kresy rozpadły się na szereg „małych Ojczyzn” Polaków, utraconych, ale ocalonych w niewygasającej pamięci. Na północnokresowe: „Litwę gniazdową” z doliną Niewiaży i Wileńszczyznę z „miastem bez imienia”; Mińszczyznę i Kowieńszczyznę z Kalużycami i Nowotrzebami; „nadberezyński kraj” w widłach Berezyny i Dniepru; Kolonię Wileńską z „najpiękniejszym wąwozem świata” oraz Wyżynę Oszmiańską z „wilczymi łąkami” koło Mołodeczna. I na południowokresowe, jak: Podole – ziemię okopów; Ukrainę – Helladę Scytyjską; „Wielkie Księstwo Bałaku” z „Drohobyczem i Stryjem”; „Wielkie Księstwo Wierzyńskie” – ziemię karpacką; Kuśniewiczowskie hrabstwo Yoknapatawha z „Trójkątem Wielkich Łąg”, Lwów z Wysokim Zamkiem i „tajojami”; „Świętą Galileę” – ziemię krzywdzoną i horiaczą; Huculszczyznę z wysokimi połoninami i Czarnohorą; Doliną szczęsną koło Brodów, dolinę średniego Dniestru i „Wierchowinę-matkę”. A miłość do nich okazuje się często irracjonalna.

Powracamy do tych Ojczyzn w zadumie, aby lepiej poznać własne rodowody i zrozumieć samych siebie w kresowych korzeniach. Twórcy podejmują kresowe problemy, aby zobrazować realne sensy takich pojęć, jak tożsamość, tolerancja, koegzystencja. Pragną przekazać ważne przesłania o potrzebie dobrosąsiedzkich dialogów bez przemilczeń, półprawd i fałszów, prowadzących do pojednania. Żeby się pięknie różnić. Chcieliby opisać świat kresowy z konkretnymi zdarzeniami, ludzkimi emocjami, bólem, miłością i nienawiścią. Zostać strażnikami narodowej pamięci i ostrzec ustami zamordowanych: *Nie porzucajcie, nie zostawiajcie*

*nas w spokoju dla waszej gadaniny, pisani-
ny, krzątani, starań przynoszących drobne
zyski, waszej powszedniej zapobiegliwości.*

Kresy to ogromny spadek po polsko-litewsko-ukraińsko-białoruskim współżyciu dziejowym, po wielkiej wielokulturowej wspólnocie. Uczyły trudnego współistnienia na co dzień *naszości z innością*. Tam wciąż kryją się korzenie naszych współczesnych zachowań i przekonań, gorących tematów i dylematów. Trzeba je przetwarzać w trwałe bogactwo narodowe, bez niegodnego odwracania się od własnej przeszłości. Nie warto rozprawiać o *ostatecznym końcu Kresów* czy o *kresie Kresów*. Nie wolno tego Słowa pochopnie wymazywać ze słowników i niszczyć w świadomości narodu. A wprost przeciwnie – trzeba utrzymywać i pogłębiać. To jedyny taki skrót myślowy, nie do zastąpienia. Niedorzeczne jest dowodzenie, że Kresy posiadają *desygnat pusty ułomny i fikcyjny*, że to *mroczny mit krwi i ziemi, dewocyjna legenda*, a kto pisze o nich, ma wyłącznie spojrzenie polonocentryczne i nostalgiczno-roszczeniowe. Nasi sąsiedzi (Ukraińcy, Litwini, Białorusini) nie muszą akceptować Kresów (uszanujmy ich punkty widzenia). Każdy naród ma prawo do własnej historii, do pojęć i terminologii przedstawiającej precyzyjnie tę historię.

Kresy stanowiły ogniść integralną część Polski i tego faktu zapisanego w księgach już nikt nie zmieni. Trzeba o tym pisać nie tylko z dumy. Dzisiaj są supernazwą (*arcykategorią*) obejmującą wszystkie ziemie wschodnie Pierwszej i Drugiej Rzeczypospolitej i tylko te ziemie. Jej treść i zakres krystalizowały się od zarania dziejów naszego państwa. Kresy to Wielka Nekropolia i Panteon Jagiellonidów – Westerplatte Kresowian.

BOLESŁAW HADACZEK, ur. 1929 w Lachowcach k. Stanisławowa. Po ekspatriacji rodziny na Śląsk Opolski nauka w szkole średniej w Prudniku. Od 1950 studia polonistyczne na KUL i Uniw. Poznańskim. Praca jako nauczyciel w szkołach średnich, potem w wyższych. Na Uniw. Szczecińskim uzyskał tytuł profesora. 1972–2000 kierownik Zakładu Literatury Polskiej. Głównym tematem zainteresowania Autora jest literatura kresowa, o której napisał wiele artykułów w czasopiśmie, a od 1993 wydaje serię roczników naukowych pt. *Kresy w literaturze* (patrz CL 3/2004, s. 32 i 47).

Ewa Siemaszko

ZAPRZECZENIE ZBRODNI

Informacja z ostatniego, 361. Zebrania Plenarnego KEP, zrobiła ogromne wrażenie na byłych mieszkańcach Wołynia i Małopolski oraz ich rodzinach. Przybyły ze Lwowa ks. abp Mieczysław Mokrzycki, przewodniczący Episkopatu Ukrainy obrządku łacińskiego, przedstawił polskim biskupom stanowisko Kościoła grekokatolickiego na Ukrainie w sprawie 70. rocznicy ludobójstwa na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Planowany był wspólny list obu Kościołów do wiernych. Jednakże zaproponowane przez grekokatolików projekty – a były dwa – dla Kościoła rzymskokatolickiego okazały się nie do przyjęcia.

W podejściu do zbrodni wołyńsko-małopolskiej, interpretacji masowych mordów dokonywanych przez nacjonalistów ukraińskich, w ocenie ich przyczyn i istoty ujawniło się usprawiedliwianie zbrodni, przerzucanie odpowiedzialności na Polaków, jej pomniejszanie i zaprzeczanie celowi, jakim była zagłada polskość.

Kościół grekokatolicki uważa, że „wołyńska tragedia” była „czystką etniczną, czyli przymusowym wysiedleniem ludności polskiej z Wołynia”. Tak zostało określone ludobójstwo, tj. planowe, masowe mordowanie z powodów narodowościowych, usiłowanie unicestwienia jak największej liczby Polaków (przez gwarancje bezpieczeństwa, by powstrzymać ich od ucieczek, lub napady na uciekających i ich ściganie), na dodatek ograniczone tylko do Wołynia. Z informacji tych nie wynika, by w projektach wspomniane były zbrodnie nacjonalistów ukraińskich w dawnej Małopolsce Wschodniej, takie same jak na Wołyniu. W przeciwieństwie do Wołynia, gdzie Ukraińcy należeli do cerkwi prawosławnej, województwa małopolskie (tarnopolskie, stanisławowskie, lwowskie) były obszarem pracy duszpasterskiej Kościoła grekokatolickiego, a również dzisiaj jest on dominujący na tych terenach. Tam właśnie uformował się macecznik nacjonalizmu ukraińskiego, mający poparcie części kleru grekokatolickiego, gdzie również

obecnie jest najwięcej zwolenników szowinistycznej, o wyraźnie faszystowskich inklinacjach, partii Swoboda.

Wskazywanie przez grekokatolików przyczyny „wołyńskiej tragedii” to „wzajemne krzywdy Ukraińców i Polaków, które ją uwarunkowały”, „pozbawienie Ukraińców praw do samostanowienia na własnej ziemi”. Zatrważające, że to właśnie duchowni chrześcijańscy znajdują takie usprawiedliwienia dla ludobójstwa, natomiast całkowicie pomijają pogańską ideologię integralnego nacjonalizmu ukraińskiego, którą inteligencja ukraińska zbałamuciła wieśniaków, popychając ich do zbrodni i niszcząc moralnie. A o sprawcach zbrodni – tj. Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, Ukraińskiej Powstańczej Armii i ich zwolennikach – w projektach listu też się nie mówi, a próbując w ten sposób gloryfikację tych organizacji na Ukrainie. Niepokojący jest brak odzewu ze strony Kościoła grekokatolickiego na apel o modlitwne wspomnienie ofiar ludobójstwa podczas sprawowanych liturgii w rocznicę „krwawej niedzieli” 11 lipca 1943 roku, a także na zachętę do porządkowania miejsc pochówku pomordowanych.

Wszystkie zastrzeżenia ks. abpa Mokrzyckiego do projektów listu Kościół grekokatolicki odrzucił, więc w tej sytuacji metropolita lwowski uznał, że nie ma odpowiedniego klimatu dla wspólnego wystąpienia, które przy opisanej postawie Kościoła grekokatolickiego byłoby przejawem relatywizmu i kolejną akcją „poprawną politycznie”. W tych okolicznościach – uważa ks. arcybiskup – „konieczna jest modlitwa zarówno za ofiary, jak i sprawców tego mordu oraz o pokój na tych ziemiach i na terenie całej Ukrainy”.

Bogu niech będą dzięki za tak zdecydowane, jednoznaczne moralnie stanowisko metropolity lwowskiego, pracującego w bardzo trudnych warunkach i atmosferze. Powinien otrzymać od nas, katolików w kraju, modlitwne wsparcie.

Powyższy tekst został pierwotnie zamieszczony w „Naszym Dzienniku” z 13 III '13 i za zgodą Autorki przedrukowany w naszym kwartalniku.

Jan Białow

LEKARZ LUDZKICH DUSZ I CIAŁ

Życie, działalność i śmierć ks. Stanisława Szczepankiewicza

Niniejsza opowieść o niezwykłym księdzu z Podola nawiązuje do artykułu „Wspomnienia wigilijne 1944 r.” tego samego Autora, a zamieszczonego w naszym kwartalniku CL 4/12.

DOM I UNIWERSYTET

Ksiądz Stanisław Szczepankiewicz – od 1934 do 1944 r. proboszcz parafii w Iłrowicy w powiecie tarnopolskim – został przez UPA zamordowany siekierą w dniu 24 grudnia 1944 roku.

Urodził się 10 II 1906 r. w Radziechowie w rodzinie woźnego Sądu Powiatowego na Podolu. Rodzina była biedna, ale szanowana i stawiana za wzór za wewnętrzną harmonię i skromny, ale godny styl życia. Jak większość polskich rodzin w miasteczku, Szczepankiewiczowie byli wyznania rzymskokatolickiego. Stanisław wychowywał się wraz z rodzeństwem – dwiema siostrami i dwoma braćmi. Był drugim kolejnym dzieckiem w rodzinie. Na wychowanie dzieci duży wpływ wywierała matka Anna, kobieta świątła o charakterze spokojnym i rozważnym. Wszystkie dzieci w rodzinie uzyskały wykształcenie co najmniej średnie, a synowie pokończyli studia, co w tym bardzo ciężkim dla ludności Małopolski Wschodniej czasie po I wojnie światowej było wielkim osiągnięciem rodzinnym.

W domu Szczepankiewiczów panował gorący patriotyzm pełen polskiego ducha, z tęsknotą do wolności Ojczyzny, której zwiastuny pojawiały się na horyzoncie polskiego życia politycznego na terenie Galicji w początkach XX wieku. Ale oprócz prądów wolnościowych były też symptomy niepokoju związanego z wojną pomiędzy Austrią a Rosją.

Marzeniem młodego Stanisława były studia medyczne. Jednak w niespokojnych i ciężkich dla Polaków latach przed pierwszą wojną światową rodziny nie stać było na realizację tych marzeń. Ostatecznie po wielu rozmowach z rodzicami i miejscowymi księżmi, którym młody Stasio usługiwał

przy ołtarzu, zdecydował się na studia teologiczne. Były one zwolnione z opłat. zdał egzaminy i został przyjęty na Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie.

Uniwersytet był uczelnią otwartą, więc równoległe z teologią mógł studiować medycynę. I tak, nie zaniedbując teologii, zaczął równoległe uczyć się na wykłady nauk



Ksiądz Stanisław w sadzie przy plebanii, 1938 r.

medycznych. Zaprzyjaźnił się ze studentami medycyny, zdobywając ich uznanie za pracowitość w zdobywaniu wiedzy medycznej jako drugiego kierunku nauki. Często korzystał z ich notatek i podręczników. Medycyna wciągnęła młodego kleryka do tego stopnia, że stał się wręcz fanatykiem tej dyscypliny. Ze studiów, oprócz przygotowania teologicznego, wyniósł więc również wiedzę i powołanie lekarskie. Można powiedzieć, że był przygotowany do leczenia ludzkich dusz i ciał.

Po pięcioletnich studiach teologicznych i przygotowaniu formacyjnym do kapłaństwa

diakon Stanisław otrzymał święcenia w Katedrze Lwowskiej z rąk arcybiskupa Bolesława Twardowskiego, metropolity lwowskiego. Po obronie pracy magisterskiej w 1932 roku uzyskał również dyplom uniwersytecki i stopień naukowy magistra teologii.

Na Wydziale Teologicznym UJK we Lwowie studiowało i pracowało wielu wybitnych księży profesorów, późniejszych biskupów w różnych diecezjach polskich. Jednym z nich był arcybiskup Józef Bilczewski, kanonizowany we Lwowie przez Jana Pawła II, profesor dogmatyki, który już wcześniej swoją szeroką działalnością społeczną, duszpasterską i naukową rozbudzał powołanie i ducha kleryków.

O studiach medycznych ks. Stanisława brak szczegółowych informacji. Pomimo starań nie dowiedziałem się na jakim poziomie zostały one zakończone. Należy przypuszczać, że nauki medyczne kontynuował wraz z kolegami, z którymi rozpoczynał medycynę, od pierwszego do ostatniego roku studiów.

PIERWSZA PARAFIA

Pierwszą placówką duszpasterską, do której został skierowany ks. Szczepankiewicz jako neoprezbiter, była parafia w Zborowie. Pracował tam z ogromnym zaangażowaniem i zapałem jako wikariusz i katecheta w latach 1932–1934. Swoją energię i zdolności poświęcał młodzieży szkolnej i pozaszkolnej. Prowadził z nią zajęcia w ramach Akcji Katolickiej i Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej i Żeńskiej. Był powszechnie lubiany i szanowany przez młodzież. Pomagał jej w samokształceniu i zdobywaniu ogólnej wiedzy. Ludzie młodzi ciesząc się z odzyskanej przez Polskę niepodległości byli żądni wiedzy, dlatego chętnie uczestniczyli w zebraniach, w czasie których młody wikary wygłaszał pogadanki oświatowo-patriotyczne i religijne. Młodzież formowana przez ks. Szczepankiewicza z ochotą angażowała się w działania o charakterze społecznym, artystycznym, a także krajoznawczym. Miały one w zamyśle kapłana uczyć, wychowywać i integrować młode pokolenie zborowian. Młody ksiądz dał się poznać jako prawdziwy nauczyciel i przyjaciel młodzieży. Jego pracowitość zyskała mu powszechne uznanie i przyjaźń w kresowym miasteczku.

Proboszcz parafii w Zborowie w pełni docenił zapał ewangelizacyjny i zaangażo-

wanie społeczne młodego księdza wydając mu pozytywną opinię. Stwierdził, że jest zdolny i dobrze przygotowany do administrowania samodzielną parafią. Opinię tę podzielili przełożeni w Kurii Metropolitalnej we Lwowie przenosząc ks. Szczepankiewicza na administratora parafii w Iłhrowicy. Tą samodzielną od dwóch lat parafią zarządzał dotąd ks. Walerian Dziunikowski, który powrócił do pobliskiej Płotyczy, gdzie już wcześniej pracował jako wikariusz.

PIERWSZA KOŁĘDA W IŁHROWICY

Na początku 1934 r. ks. Dziunikowski z upoważnienia ks. abp. Bolesława Twardowskiego oficjalnie wprowadził do parafii nowego administratora. Jak wspominał S. Białowąs, ojciec autora, działało się to w czasie niedzielnej mszy świętej przy pełnej kaplicy wiernych.

– Mam nadzieję – mówił ks. Dziunikowski – że współpraca parafian z młodym, pełnym zapału do pracy duszpasterskiej księdzem ułoży się harmonijnie i służyć będzie chwale Bożej.

Po zakończeniu nabożeństwa koncelebrowanego przez obu kapłanów ks. Szczepankiewicz podziękował ks. Dziunikowskiemu za miłe powitanie i owocną pracę duszpasterską z parafianami Iłhrowicy.

– Będę się starał nie zawieść tak miłej rekomendacji – powiedział. – Sądzę, że moja praca z parafianami będzie się układać jak najlepiej. Postaram się otoczyć opieką duszpasterską młodzież szkolną i pozaszkolną – zapewnił nowy proboszcz.

Słowa młodego księdza były we wsi szeroko komentowane. Parafianom podobała się energiczna postawa duszpasterza, a szczególnie przypadła im do gustu zapowiedź pracy z młodzieżą. We wsi żywa była tradycja bezinteresownej pracy społeczno-edukacyjnej organizowanej przez Towarzystwo Szkoły Ludowej (TSL). Jednak od czasu, gdy po śmierci swego syna Kazimierza, żołnierza Legionów Piłsudskiego, zrezygnował z funkcji przewodniczącego TSL Jan Białowąs, zwany Małym Jankiem, nie wyłonił się jeszcze nowy animator oświaty zdolny porwać za sobą społeczność iłhrowicką. We wsi cieszą się więc z zapowiedzi, że młody ksiądz podejmie społeczną pracę z młodzieżą. Sądzą, że mając do dyspozycji kościelną ambonę osiągnie pożądany cel.

Już wkrótce ihrowiczanie mieli okazję odkryć kolejne przymioty swojego nowego proboszcza. Pierwszą możliwością wzajemnego bliższego poznania się była kolęda. Kapłan potrafił w bezpośredniej rozmowie zjednać miejscowych patriotów i ludzi bliskich Kościołowi. W czasie wizyt interesował się poziomem życia parafian. Szczególną uwagę kierował na sytuację rodzin wielodzietnych, których w tym czasie było wiele. Dopytywał się o stan zdrowia, doradzał, w jaki sposób utrzymywać higienę osobistą. Chorym na poczekaniu udzielał praktycznych porad lekarskich lub zachęcał do przyścia na plebanie w celu dokładniejszego badania. Parafianie byli zdziwieni, że proboszcz znajduje czas i chęć na rozmowę z nimi nie tylko o sprawach wiary, ale też na tematy zdrowia, lekarstw, rodziny, szkoły, pracy, gospodarki czy spraw kultury.

W odwiedzanych domach rozmawiał nie tylko z dorosłymi, ale też z dziećmi i dorastającą młodzieżą. Chłopców namawiał, żeby uczyli się ministrantury. Stawiał jednak warunki. Mieli słuchać rodziców, być grzecznymi nie tylko w szkole i dobrze się uczyć. Pamiętam doskonale, że do mszy św. usługiwało zawsze wielu chłopców ze starszych klas szkoły podstawowej, gdyż bycie ministrantem stanowiło wielki zaszczyt. A na lekcjach religii ksiądz wymieniał i chwalił ministrantów.

DUSZPASTERZ I SPOŁECZNIK

Już po pierwszej kolędzie ujawniły się organizacyjne talenty nowego proboszcza. Słyszając skargi parafian na wysoką lichwę, z jaką wiązało się praktykowane powszechnie pożyczanie pieniędzy u Żydów, zaproponował Grzegorzowi Błaszkieviczowi, który jako jeden z niewielu mieszkańców Ihrowicy ukończył cztery klasy szkoły wiejskiej i dwie gimnazjum w Tarnopolu, zorganizowanie we wsi Kasy Stefczyka. Ksiądz zachęcał do tej inicjatywy wyjaśniając, że każdy członek kasy mógłby pożyczyć pieniądze bez płacenia wysokich procentów i pomnażania

przez ubogich Polaków bogactwa Żydów. Zaproponował Błaszkieviczowi wyjazd na kurs do Lwowa w celu nauki księgowości i prowadzenia takiej kasy, a nawet osobiście załatwił mu miejsce na organizowanym kursie i wspomógł materialnie jego wyjazd. Po ukończeniu kursu przydzielono Błaszkieviczowi pomieszczenie w Domu Ludowym na prowadzenie kasy. I chociaż kapitał początkowy był mizerny, to pożyczek kasa udzielała do samego 1939 roku. Dzięki właściwemu przygotowaniu do prowadzenia kasy przez Grzegorza Błaszkievicza, jego rzetelności, uczciwości i przyjaznemu stosunkowi do ludzi, nie zanotowano żadnych skarg na funkcjonowanie kasy, a ihrowiczanie w listach adresowanych do mnie do dziś zachowują go w życzliwej pamięci.



Pomoc ihrowickich parafian w czasie żniw na polu parafialnym, 1936–38

Po objęciu parafii przez nowego proboszcza polska społeczność Ihrowicy w bardzo szybkim tempie zaczęła się integrować. Rosnąca zaradność Polaków wzbudzała zazdrość u braci Ukraińców, a u ukraińskich nacjonalistów wręcz zawiść.

Tymczasem z inspiracji nowego proboszcza zagospodarowano młodzieży czas wolny od zajęć szkolnych. Popularne stały się treningi, zawody sportowe, marsze i ćwiczenia strzeleckie. Zimą uprawiano głównie narciarstwo, a latem odbywały się zmagania lekkoatletyczne na boisku szkolnym lub na łąkach. Ks. Stanisław prawie zawsze był na nich obecny, czasami nawet sędziował, a także robił zdjęcia, gdyż był z zamiłowania fotoamatorem. Młodzież bardzo ceniła

obecność księdza w czasie gier i zawodów sportowych. Z księdzem często przychodzili też nauczyciele.

Ksiądz Szczepankiewicz angażował się też w publiczne uroczystości patriotyczne. Rozpocynały się one zawsze mszą św. odprawianą przez niego w kościele, a po nabożeństwie kontynuowane były w Domu Ludowym lub przed Pomnikiem Zwycięstwa. Reżyserem uroczystości i przedstawień była nauczycielka Parascewia Białowąż, zwana cicią Niusią. Młodzież recytowała wiersze, śpiewała piosenki patriotyczne, odgrywała scenki z historii Polski. Na każdej uroczystości w pierwszym rzędzie siedział ksiądz proboszcz w otoczeniu nauczycieli i gminnej władzy.

Autorytet nowego proboszcza rósł niezwykle szybko. Nie tylko był szanowany, ale wręcz podziwiany za dobroć, przystępność i bezinteresowność. Dość powiedzieć, że młodym udzielał ślubów kościelnych za darmo. Odpłacano mu potem pracą w jego przykościelnym gospodarstwie. Żniwa na polu parafialnym trwały zaledwie jeden dzień, tylu było chętnych do pomocy. Zachowały się zdjęcia kolektywu żniwiarzy na polu parafialnym, zrobione przez księdza Stanisława.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wieś podolska była zniszczona przez walki frontowe i bardzo biedna. Poprawę wiejskiego życia utrudniała recesja. Towary przemysłowe były bardzo drogie, a produkcja rolnicza tania. Wszechobecna była przysłowiowa „galicyjska bieda”. Brakowało miejsc pracy, więc rozwinęła się emigracja. Z kraju wyjeżdżała ze szkodą dla społeczeństwa najbardziej aktywna młodzież.

Jedną z pierwszych prywatnych inwestycji w powiecie tarnopolskim było zbudowanie nowoczesnego motorowego młyna w Hłuboczku Wielkim. Właścicielami młyna byli dwaj Polacy – Wojciech Orzędąła i Józef Szoniec. Inwestycja była trafiona. Przemiał trwał przez całą dobę, a mąka z dorodnej podolskiej pszenicy sprzedawana była na terenie całego kraju i za granicę. Właściciele młyna postanowili zainwestować zarobione pieniądze w kolejny młyn. Zwrócili się do proboszcza Ihrowicy z prośbą o wskazanie miejscowych uczciwych i przedsiębiorczych Polaków gotowych zainwestować razem z nimi w budowę drugiego motorowego młyna. Ksiądz wskazał cieszącego się dobrą

opinią Grzegorza Błaszkwicza, który przystąpił na propozycję zorganizowania spółki. Przystąpiło do niej aż 14 udziałowców. Na wniosek ks. Szczepankiewicza spółka była otwarta także dla Ukraińców.

Budowa młyna trwała półtora roku. W dzień uruchomienia przyszło wielu ludzi podziwiać okazały budynek i urządzenia młyńskie. Kiedy silnik ruszył i zaświeciły się żarówki, zapanowała powszechna, niepohamowana radość.

Obserwowałem osobiście zadowolenie i radość rodziny Błaszkwiczów. Synowie Michał, Karol i Kazimierz krząpali się przy pracującym silniku. Każdy z nich przygotowywał się do samodzielnego ciągłego nadzoru nad jego pracą. Ks. Szczepankiewicz w towarzystwie inwestorów również obserwował uruchomienie młyna. Widać było, że jest szczęśliwy z powodzenia tego przedsięwzięcia, dzięki któremu jego parafianie u siebie mogli mleć zboże, kilkunastu z nich znalazło zatrudnienie, a Ihrowica w najbliższych latach miała zostać oświetlona elektrycznością płynącą z turbiny zainstalowanej we młynie.

Niestety plany te pokrzyżowała wojna. Po 17 września 1939 roku, gdy Kresy znalazły się pod okupacją sowiecką, właściciele młyna stali się „złymi kapitalistami”, którym odebrano ciężko zapracowaną własność na rzecz „robotniczo-chłopskiego” państwa – Związku Radzieckiego. A na kierownika młyna selrada (rada gminna) powołała Ukraina, nacjonalistę Kucia.

BUDOWA NOWEGO KOŚCIOŁA

Po objęciu parafii przez ks. Szczepankiewicza kościołowi ihrowickiemu zaczęło przybywać wiernych. Jednym z powodów była szeroko aprobowana działalność duszpasterska i społeczna nowego proboszcza. Chętnie przychodziły do kościoła osoby z rodzin mieszanych, które wcześniej uczęszczały do cerkwi. Takich mieszanych małżeństw w Ihrowicy było wiele. W połowie lat trzydziestych liczba wiernych wzrosła do tego stopnia, że nie mieścili się w małym kościółku, co było uciążliwe w czasie deszczu czy mrozu.

W końcu ks. Szczepankiewicz po zapoznaniu się z dokumentacją parafialną i stanem nieruchomości kościelnych zwołał Radę Parafialną. Poinformował ją, że liczba wier-



Budowa nowego kościoła pw. św. Krzyża w Ihrowicy, 1938. Na pierwszym planie zakupiona figura Chrystusa oraz kamień na fundamenty. W głębi widoczny stary drewniany kościółek.

nych w parafii przekroczyła tysiąc osób. Na wszystkich nabożeństwach parafianie wypełniają cały kościół, co stwarza trudności w sprawowaniu liturgii. Zdaniem proboszcza, należałoby się poważnie zastanowić nad budową nowej, obszerniejszej świątyni. A miejsce na nią było, gdyż zadbano o nie już z chwilą powołania parafii.

Propozycja budowy nowego kościoła spodobała się nie tylko członkom rady, ale i ogółowi parafian. Postanowiono, że nowy kościół ma mieć 50 metrów długości, wysoką bryłę i smukłą wieżę. Architektom zlecono opracowanie projektu kościoła, a Rada Parafialna przystąpiła do gromadzenia środków na jego budowę. W latach 1936 i 37 nawieziono olbrzymie sterty kamienia ciosowego i cegły. W 1938 roku powstały fundamenty pod kościół. Ks. Stanisław, który zdobył już sobie duży autorytet i umiejętnie postugiwał się kościelną amboną, okazał się być prawdziwym *spiritus movens* całego przedsięwzięcia. Potrafił zmobilizować społeczność ihrowicką do ofiarnego wysiłku finansowego i fizycznego. Zaczęto już zagospodarowywać przestrzeń wokół przyszłego kościoła, ale dalsze prace i budowę przerwała wojna. Na pamiątkę olbrzymiego wysiłku ihrowiczian pozostał tylko spis rodzin polskich sporządzony w urzędzie gminy dla potrzeb opodatkowania się na rzecz budowy kościoła. Dokument zachował i przywiózł do powojennej Polski kierownik szkoły pan Bazyli Chabin.

IHROWICKI JUDYM

Anna Szczepankiewicz, matka księdza, na pytanie mojego ojca, gdzie i kiedy jej syn posiadał wiedzę medyczną, odpowiedziała, że jeszcze w szkole średniej interesował się medycyną.

– Nasze dochody – mówiła – nie pozwalały wówczas wykształcić syna na lekarza. W domu było pięcioro dzieci, a mąż miał małą pensję. Zarobek starczał więc tylko na skromne utrzymanie rodziny. Cieszyłam się bardzo, kiedy po rozpoczęciu studiów teologicznych syn był zadowolony z tego kierunku. Byli w rodzinie tacy, którzy żartowali, że syn spełnił marzenia matki.

W czasie pracy na parafii w Zborowie ks. Stanisław nie ujawniał swoich talentów medycznych. Był pochłonięty pracą z młodzieżą. Dopiero po objęciu parafii w Ihrowicy poczuł się gospodarzem własnego czasu. Szybko zaadaptował się do panujących tu warunków. Poczul się odpowiedzialny nie tylko za stronę duchową parafian, ale też za ich zdrowotność. O jego wielkiej pasji leczenia chorych bez względu na narodowość wspomina Tadeusz Balicki, ihrowicki nauczyciel z lat 1934–1937. Píše on: *Przyjaźniliśmy się z księdzem. Byliśmy z nim po imieniu. Stwierdzam, że był wielkim Polakiem i serdecznym przyjacielem wszystkich Polaków i Ukraińców. Pamiętam, że przychodził do nas i mówił do żony: „Pozwolisz, że zabiorę Tadeusza. Idziemy na wieś”. Żona zawsze się zgadzała. Chodziliśmy po wsi, wstępowałyśmy niemal do każdego domu. Nikogo nie wyróżniał (...). Był dobry dla wszystkich. Wszystkim chciał pomagać. Chodził po wsi i udzielał porad lekarskich. Był zapaleńcem w tej dziedzinie. Wyniki jego leczenia były skuteczne i widoczne...*

Podobnie pułkownik Kazimierz Białowąs stwierdził, że *ksiądz wniósł ogromny wkład w podniesienie poziomu zdrowotności i higieny ihrowiczian. Ukraińcy uwielbiali naszego księdza za to, że traktował ich na równi z Polakami, nawet rozmawiał z nimi po ukraińsku.*

Sam też pamiętam, jak starsi ludzie porównywali „praktykę” lekarską ks. Szczepankiewicza z – uchodzącym za niezwykle skuteczne – leczeniem z czasów I wojny światowej. Mówili, że ksiądz jest tak dobrym lekarzem jak owi leczący ich wówczas lekarze wojskowi. Oznaczało to wielkie uznanie

dla jego umiejętności medycznych w tym środowisku.

Umiejętności te okazały się szczególnie przydatne w czasie wojennym. Dokładnie zapamiętałem wrzesień 1939 roku. Wiele jednostek wojskowych przemieszczało się gościńcem przez naszą wieś z północy na południe w kierunku Zaleszczyk. Po 17 września oddziały – już bez oficerów – w nieładzie zdążyły na północ kraju. W tej masie było wielu rannych żołnierzy, którzy resztkami sił trzymali się większych grup ze względu na napady Ukraińców. Nie działały wówczas żadne zorganizowane służby medyczne, bo załamały się struktury państwa. Właśnie w tych tragicznych dniach przy szosie przed plebanią zobaczyłem napis: „Punkt opatrunkowy rannych”. Ksiądz osobiście opatrywał rannych żołnierzy i osoby cywilne idące z wojskowymi. Jego matka Anna zapraszała głodnych do kuchni na szybki posiłek. Widziałem, że wielu żołnierzy korzystało z tej pomocy. Kiedy zabrakło bandaży, ksiądz przynosił obrusy kościelne i kazał ciąć na pasy do opatrywania ran. Żołnierzom dawał takie bandażę na drogę jako zapasowe opatrunki. Ksiądz zwrócił się też do miejscowych gospodyń o lnianie płótno na opatrunki i panie okazały się bardzo hojne. Polska ludność była wówczas bardzo ofiarna w niesieniu pomocy wszystkim potrzebującym Polakom, tym bardziej że działał dobry przykład z plebanii.

LEKARZ DWÓCH OKUPACJI

Swoją umiejętnością leczenia ludzi, a nawet zwierząt, ks. Stanisław niezwykle przysłużył się ihrowickiej społeczności za pierwszej okupacji sowieckiej. Wprawdzie władza radziecka przysłała lekarza Rosjanina, ale okazał się on alkoholiczkiem. Pił nawet *adikałon* (mocne perfumy), a kolejki chorych ustawiały się przed plebanią. *Wrac* radziecki spowodował, że zabroniono księdzu przyjmowania chorych, bo nie miał dyplomu lekarskiego. Jednak po tym zakazie popularność ks. Szczepankiewicza jako lekarza znacznie wzrosła. *Wrac-adikałon*, jak go przezywali uczniowie, zastąpił tym, że za buteleczkę perfum wystawiał uczniowi zwolnienie lekarskie nawet na tydzień. Ciekawostką jest fakt, że o wizytę lekarską u ks. Szczepankiewicza ubiegali się nawet oficerze radziecy. Wieczorami po cywilnemu

przywozili oni do księdza swoje rodziny. Jak opowiadała mi pani Chabinowa z Ihrowicy, za pomoc lekarską udzielaną przez księdza sowieckim rodzinom, a także za łapówkę w postaci przedwojennych garniturów, został zwolniony z więzienia NKWD jej mąż Bazyl Chabin, do 1939 roku kierownik szkoły powszechnej w Ihrowicy.

Po pierwszej wywóźce Polaków na Syberię, która nastąpiła 10 lutego 1940 r., we wsi zapanowała atmosfera strachu i niepewności jutra. W każdej rodzinie gromadzono zapasy żywności i ciepłej odzieży. A kiedy nadeszły pierwsze listy błagalne zesłańców z prośbą o trwałą żywność, odzież i lekarstwa, ksiądz Stanisław niezwykle aktywnie zaangażował się w ich zdobywanie. Wspólnie ze swoją matką sporządzał mieszanki ziołowe i zalecał umieszczanie torebek z tymi lekarstwami w paczkach wysyłanych sybirakom.

Następna okupacja, tym razem niemiecka, okazała się dla ludności polskiej na Podolu pod względem opieki medycznej jeszcze trudniejsza od poprzedniej. W dalszym ciągu nie było lekarzy, szpitali i lekarstw. Nic dziwnego, że ks. Szczepankiewicz miał pełne ręce roboty. Lekarstwa pomagał mu zdobywać młodszy brat Antoni, który był lekarzem we Lwowie i często odwiedzał brata i matkę. Okazał się on też dobrym pośrednikiem przy pozyskiwaniu medykamentów. Otrzymywał je za żywność od Niemców z garnizonów stacjonujących w miastach. Brat był też konsultantem ks. Szczepankiewicza w trudniejszych przypadkach chorobowych.

Codziennie przez gabinet na plebanii przewijali się chorzy niezależnie od narodowości i zapatrywań politycznych. Ksiądz wyleczył m.in. Omeliana Widłowskiego, którego ojciec Stefan był aktywnym banderowcem. Odwiedzał chorego rano i wieczorem, choć doskonale wiedział, jaki to był dom. Doprowadził do zdrowia chorującego na dyzenterię Ihora Nakoniecznego z rodziny ukraińskich nacjonalistów, a także cierpiącego na niedowład kończyn Mykołę Kucia, który za okupacji niemieckiej był wójtem Ihrowicy i wyrządził Polakom wiele krzywd.

Księdzu Stanisławowi zawdzięczała też zdrowie Ukrainka Anna Sapun „Duma”, której lekarze chcieli amputować nogę. Nie zgodziła się, a ksiądz wyleczył ją ziołami. O swojej wdzięczności Anna Sapun pamiętała również po napadzie i zamordowaniu

Ksiądz Stanisław Szczepankiewicz z Iłhowicy w Tarnopolskiem

A black and white portrait of a man, likely a priest, with short dark hair, looking slightly to the left. He is wearing a dark, high-collared garment, possibly a cassock. The background is dark and textured.

**MĘCZENNICY
KRESOWI
DO CHWAŁY
OŁTARZA**

**O TO APELUJEMY
DO POLSKICH BISKUPÓW**

księdza. Gdy inni Ukraińcy bali się mówić o wigilijnym mordzie, ona nazywała tę zbrodnię po imieniu. Złorzeczyła mordercom i odwiedzała grób księdza. Dbała, by nie został zrównany z ziemią, tak jak mogiła zbiorowa Polaków. Plewiła na nim kopczyk i stawiała kwiaty.

O porady lekarskie dla swych rodzin zabiegali u ks. Szczepankiewicza księży grekokatolicy. Przyjeżdżali z żonami i dziećmi, a takie odwiedziny nieraz przeciągały się do późnych godzin wieczornych. Dzięki nim stosunki między duchownymi obu wyznań były wręcz wzorowe.

Bez przesady można ks. Szczepankiewicza porównać do literackiej postaci doktora Judyma ze znanej powieści Stefana Żeromskiego. Bezinteresownie leczył Polaków i Ukraińców, o czym mogą zaświadczyć żyjący jeszcze w Polsce i za granicami Ihrowiczanie.

PĘTLA ŚMIERCI

Zażyłość między ks. Szczepankiewiczem a duchownymi grekokatolickimi doprowadziła wiosną 1943 roku do uzgodnienia przez proboszczów obu obrządków, że na zakończenie misji cerkiewnej w czasie procesji Polacy i Ukraińcy razem poniosą olbrzymi dębowy krzyż. Ksiądz Szczepankiewicz prosił swoich parafian o liczny udział w procesji i dźwiganiu krzyża na najwyższą w okolicy górę Dyblankę (374 m). Osobiście ten krzyż także niosłem.

Niestety wspólna uroczystość zakończyła się antypolską agitacją. Po postawieniu i poświęceniu krzyża jeden z trzech przybyłych misjonarzy ukraińskich powiedział, że *nadszedł czas, żeby oczyścić naszą ziemię z chwastów. Nasz naród musi oczyścić dorodną pszenicę ukraińską z kąkolu (...). Najwyższy czas zacząć (...).*

Wszyscy zgromadzeni odczytali te słowa jednoznacznie, jako nawoływanie Ukraińców do zbrodni na Polakach. Szczególnie groźny i bulwersujący był fakt, że do zbrodniczych działań zrywała osoba duchowna nauczająca Słowa Bożego. Nic też dziwnego, że po tej uroczystości Polacy trochę wypominali swojemu proboszczowi, że za bardzo się angażuje w leczenie nacjonalistów.

W tym czasie propaganda OUN skutecznie zatruwała zgodne dotąd współżycie między obiema nacjami, wywołując wśród

Ukraińców nienawiść do Polaków. Tymczasem we wsi zaczęli pojawiać się Polacy – uciekinierzy z Wołynia – którzy opowiadali o straszliwych pogromach. Jednak Ukraińcy, których ksiądz leczył, nadal zapewniali, że w Ihrowicy nic złego ani jemu, ani innym Polakom wydarzyć się nie może. I Polacy, chociaż często spali po różnych kryjówkach i u zaprzyjaźnionych Ukraińców, nadal w te zapewnienia chcieli wierzyć.

Lato i jesień 1943 r. przeminęły w Ihrowicy jeszcze spokojnie. Pierwsze ofiary zbrodni OUN-UPA padły na początku 1944 r. I tak: 16 lutego w Dubowcach uprowadzono 6 Polaków, po których zaginął wszelki ślad; 23 lutego dokonano napadu na Berezowicę Małą, gdzie zamordowano 131 osób; 25 lutego na ihrowickiej kolonii Chomy zostali zamordowani Franciszek Dziedzic (lat 40) i jego syn Kazimierz (15 lat). Zginęli oni za pomoc w grzebaniu pomordowanych w Berezowicy Małej. Miejscowości te oddalone były od Ihrowicy od 2 do 6 kilometrów.

Pętla śmierci zaciskała się wokół Ihrowicy, a uciekać nie było gdzie. Tarnopol leżał w gruzach, a do Lwowa, przeludnionego w tym czasie od uciekinierów, było 140 kilometrów, co przy braku dostępności komunikacji kolejowej stanowiło barierę nie do przebycia. Do tego panowała sroga zima.

Ostatnie pismo do Kurii Metropolitalnej we Lwowie, z relacją o napadzie i mordach ukraińskich nacjonalistów w Berezowicy Małej oraz o panice w Ihrowicy, ks. Stanisław skierował 26 lutego 1944 roku (L: 154-4). W liście napisał:

W nocy z 23 na 24 II około 300 uzbrojonych rozmaicie (kosy, siekiery i broń palna) napadło na Berezowicę Małą, gdzie samych wyłącznie Polaków wymordowano 131 osób nie licząc ciężko poparzonych, gdyż ponad 40 osób spalono żywcem wprzód powiązawszy (kobiety i dzieci). Okropny i przerażający widok – rozprute nożami wnętrzności i kołami poprzebijane dzieci na wyłot. Pozostali przy życiu Polacy, którzy uciec zdołali z Berezowicy M., wyjeżdżają czym prędzej na tułaczkę. Berezowica oddalona od Ihrowicy o 8 kilometrów. Podniecenie i przestraszanie opanował Ihrowicę – przestraszanie i panika podsycana pogrozkami, np.: Tu takie same bude (tutaj będzie tak samo) itp. Około 1/3 Polaków z Ihrowicy już spakowana, w tym tygodniu wyjeżdżają w różne strony – wielu do Tarnopola.

Nastrój jest bardzo smutny i przygnębiający. Parafianie doradzają często: niech ksiądz z nami wyjeżdża. Przebywanie w Ihrowicy jest bardzo niebezpieczne i ryzykowne. Na Chomach, 4 km od Ihrowicy, zastrzelili 25 II 1944 Polaka Franciszka Dziedzica i jego 15-letniego syna. W Dubowcach, 6 km od Ihrowicy, zamordowano 6 Polaków; tam też nowy, w 1939 r. wybudowany kościół ulega powolnej rozbiórce. Chór, posadzka, ołtarz, okna, drzwi, itp., już zupełnie zrabowano.

O ile stosunki się nie poprawią, a parafianie będą wyjeżdżać (pozostało po 1940 r. 900 dusz) dalej, to będę musiał wyjechać do Tarnopola, skąd prócz niedziel jeszcze raz lub 2 w tygodniu dojeżdżać będę, aby administrować parafią. Polacy nocami już kilka miesięcy nie śpią, okropne stosunki. Otrzymałem ostrzeżenie, ażebym się pilnował lub wyjechał. Na razie pozostaję; jeśli będę zmuszony wyjechać, powiadomię Najprzewielebniejszą Kurię. (...) Ihrowica, 26 II 1944, Ks. Szczepankiewicz Stanisław.*

Osobiście pamiętam gorące dyskusje Polaków, nie wiedzących co robić. Moja rodzina znalazła się dodatkowo w niebezpieczeństwie, ponieważ banderowiec Mykoła Kuż, wracając nad ranem „z roboty”, a mordowani byli tej nocy Polacy w Berezowicy Małej, bawiąc się pistoletem sam siebie ranil w nogę. Nie przyznał się do tego, lecz oskarżył o postrzał męża mojej siostry, Stefana Grabasa, na którego nacjonaliści wydali wyrok śmierci. W tajemnicy ostrzegła o tym moją siostrę Ukrainka – jej koleżanka szkolna. Siostra ze szwagrem i dzieckiem mieszkali razem z nami, więc strach padł na całą naszą rodzinę. Żyliśmy z wyostrożoną uwagą, od zmroku do świtu obserwując otoczenie i nocując po kryjówkach.

PASTERZ NIE OPUSZCZA OW CZARNI

Na początku marca 1944 roku we wsi dało się słyszeć pierwsze frontowe strzały armatnie. Wojska sowieckie zbliżały się do Tarnopola i Polacy oczekiwali ich jak zbawienia. W okolicach Ihrowicy pojawili się 7 marca. W tej sytuacji banderowcy zeszli do podziemia, tak że za dnia nie było ich widać. Po tygodniu NKWD zaczęło wykrywać ich kryjówki. Nastąpiły pierwsze aresztowania. Jest pewne, że to nie Polacy wskazywali te miejsca. NKWD zawdzięczało informacje żołnierzom z rozbitych jednostek cofającej

się armii sowieckiej w 1941 r., którzy w czasie okupacji niemieckiej służyli za parobków u bogatszych nacjonalistów ukraińskich. Tymi żołnierzami byli przeważnie Ukraińcy z Ukrainy zazbruczańskiej, nie popierający nacjonalistów, a do Polaków ustosunkowani pozytywnie. Już wcześniej zdarzało się, że ostrzegali Polaków przed planami nacjonalistów. Oni musieli współpracować z NKWD i wykazać się czynami, żeby nie trafić na Syberię.

W Ihrowicy i okolicach zapanował dla Polaków względny spokój. Ludzie zaczęli spać we własnych domach i łóżkach. Doskonale pamiętam ten czas, gdy po miesiącach poniewierki mogłem wreszcie wysypiać się do woli. A potrzebowałem snu, bo miałem 17 lat. W kwietniu 1944 roku powołano mężczyzn w wieku od 18 do 55 lat do wojska na wojnę. Polaków do Wojska Polskiego, a Ukraińców do Armii Czerwonej. Z Polaków poszli wszyscy, a z Ukraińców tylko część. Zostali przeważnie ci, którzy obawiali się odpowiedzialności za kolaborację z Niemcami. A kiedy front przesunął się na zachód, zasilone kadrowo oddziały UPA powróciły do zbrodniczych napadów na polską ludność.

Jesienią wśród Polaków na Tarnopolszczyźnie znów zaczęła narastać atmosfera strachu i zagrożenia. Dni stawały się krótsze, a noce – w czasie których banderowcy dokonywali napadów – coraz dłuższe. Sotnie UPA rosły w siłę. Potrzebowały zaopatrzenia w żywność i siłę pociągową, a najłatwiej było im zdobyć te środki mordując i rabując bezbronne polskie rodziny.

Wszystkie te okoliczności nie wpłynęły na postawę ks. Stanisława, który tak jak dotąd leczył wszystkich potrzebujących. Ukraińcy, szczególnie ci korzystający z medycznych umiejętności księdza, nadal zapewniali, że w Ihrowicy będzie spokój. Tak też twierdził ks. Hałaś, miejscowy paroch z cerkwi. Wydawał się mocnym gwarantem spokoju w wiosce. Zapewne takim go też widział ks. Szczepankiewicz, gdy ks. Janowi Mądrzakowi z Berezowicy Małej, namawiającemu go do natychmiastowej ucieczki, odpowiedział: *Tego co się stało u was w Berezowicy Małej, ja się nie spodziewam od naszych ihrowickich Ukraińców. Ja zostanę ze swoimi parafianami, co się wydarzy im, to i mnie. Ja muszę być z nimi. Dobry pasterz nie opuszcza swojej owczarni...*

Rozmowa między księżmi toczyła się przy świadkach w czasie obiadu u Jadwigi Białowąs „Buń”. Ks. Jan Mądrzak wstąpił do niej przejeżdżając przez Ihrowicę w godzinach przedpołudniowych. Bardzo się spieszył, by z powodu krótkich grudniowych dni w drodze nie zastała go noc.

Tymczasem ks. Szczepankiewiczowi często brakowało lekarstw, którymi wcześniej hojnie obdarowywał pacjentów. Sam sporządzał mieszanki ziołowe i różne maści dla chorych. Bywał proszony o wizyty także do domów banderowskich. Leczył nawet ukrywających się dezertów z Armii Czerwonej, świadomie narażając się na odpowiedzialność karną przed NKWD. Wiedział, że jest Ukraińcom bardzo potrzebny jako lekarz i w tym upatrywał ratunku dla śmiertelnie zagrożonej parafii.

Po latach dowiedziałem się od miejscowych Ukraińców, że ksiądz sporządzał bardzo dobrą maść na świerzb. Była to u banderowców częsta dolegliwość, ponieważ przebywali w brudnych i mokrych kryjówek, zarażając się często jeden od drugiego. Powtórzyli mi nawet wypowiedź jednego ze zbrodniarzy: *Szkoda, że nie wymusiliśmy przed zabiciem księdza recepty na sporządzenie maści na świerzb, która była bardzo skuteczna!* Stąd wiemy, którzy z miejscowych Ukraińców rozbijali drzwi plebanii, mordowali księdza i jego rodzinę, przeprowadzili na plebanię pierwszy rabunek.

Nie można wykluczyć, że część ihrowickich nacjonalistów nie zamierzała oszukiwać i mordować księdza, ale być może nie do nich należał decydujący głos w sprawie zbrodniczego ataku.

WIGILIJNY MORD

W wigilię 24 grudnia 1944 r. o godzinie siódmej rano proboszcz odprawił rołaty. Do kościoła przyszło kilkanaście kobiet. Julia Litwin po nabożeństwie poinformowała księdza, że idąc do kościoła spotkała kilku młodych mężczyzn ubranych w długie płaszcze i kożuchy, pod którymi mieli broń. Mężczyźni nie zaczepiali nikogo, ale bacznie przyglądali się przechodniom. Ks. Szczepankiewicz z uwagą wysłuchał tej wiadomości, zalecił ostrożność w drodze powrotnej i życzył spokojnych świąt.

Jednak sam cały dzień był bardzo niespokojny. Przy dekoracji kościoła na święta

Bożego Narodzenia pomagały mu córki śp. Jana Białowąsa (Głąby), zamordowanego tydzień wcześniej. Widziały, jak ksiądz często wychodził na drogę. Interesował się chłopcami z „Istrebitielnoho Batalionu” (IB), którzy od dwóch dni mieli posterunek samoobrony w Domu Ludowym po przeciwnej stronie drogi niedaleko kościoła. Około południa słychać było strzały na kolonii Chomy, co bardzo zaniepokoiło księdza. Odebrał też alarmującą wiadomość od księdza Hałasia z cerkwi, żeby natychmiast wyjechał do Tarnopola lub schronił się z rodziną w jego domu. Odrzucił tę propozycję i pozostał na miejscu mówiąc: *Jak mogę pozostawić swoich parafian. Co będzie im, to i mnie.*

Napad na Ihrowicę rozpoczął się tak jak wieczera wigilijna – z pierwszą gwiazdką. Bandyci zaatakowali wieś z kilku stron. W pierwszej kolejności szturmowali plebanię. Najpierw wezwali księdza do otwarcia drzwi, a gdy to nie poskutkowało, zaczęli je rozbijać. Zajęło im to kilkanaście minut, gdyż drzwi były okute i zabezpieczone sztabami. Ksiądz w tym czasie nieustannie dzwonił na alarm sygneturką zawieszoną na strychu. Czynił to do ostatnich chwil życia, ratując od śmierci co najmniej kilkanaście polskich rodzin, które zaalarmowane puciekwały od stołów wigilijnych do kryjówek. Na ratunek księdzu nie pospieszył nikt, gdyż we wsi praktycznie nie było mężczyzn, a kilkuosobowy posterunek Istrebitielnoho Batalionu w Domu Ludowym banderowcy ostrzeliwali z broni maszynowej. Mimo ogromnej przewagi nie próbowali go jednak zdobyć.

Mieszkałem blisko plebanii. Gdy rozpoczynaliśmy wigilijną wieczerę i mama podawała opłatek, usłyszeliśmy dźwięk sygneturki i strzały. Natychmiast uciekliśmy z mieszkania i skryliśmy się na strychu obory sąsiada Ukraińca. Przy pokrywie śnieżnej i niewielkim mrozie dobrze słyszeliśmy odgłosy uderzeń młotów w drzwi plebanii i po kilkunastu minutach trzask wyłamywanych desek. Na plebanię zostali zarąbani siekierami ks. Stanisław Szczepankiewicz (38 lat), jego matka Anna (70 lat), brat Bronisław (36 lat) i siostra Maria Dorazil (33 lata).

Niewątpliwie ksiądz poznał swoich oprawców, co musiało mu przysporzyć dodatkowych cierpień duchowych. Wiemy już, którzy z miejscowych Ukraińców brali bezpośredni udział w morderstwie. Już po

miesiącu sprawca zaniósł do szewca buty księdza. Szewc wcześniej je naprawiał, więc rozpoznał. Ten fakt z niesmakiem – gdyż wiedzieli, że ksiądz leczył rodzinę mordercy – opowiadali i komentowali między sobą miejscowi Ukraińcy jeszcze po 12 latach od zbrodni, kiedy po raz pierwszy odwiedziłem Ihrowicę. Plebania została obrabowana z co cenniejszych przedmiotów. Bandyci wynieśli z niej wiele tobołów załadowanych łupem. Gwoli prawdy historycznej trzeba dodać, że to chęć zdobycia dobytku polskich sąsiadów motywowała część Ukraińców do haniebnych czynów.

Ksiądz Szczepankiewicz został pogrzebany obok zbiorowej mogiły swoich parafian. Jako jedyne z zamordowanych pochowano go w trumnie naprędce zbitej z bydłęcego żłobu. Po ekspatriacji Polaków niektórzy z leczonych przez księdza Ukraińców ukradkiem dbali o usypany na jego mogile kopczyk, który plewili i ozdabiali kwiatami polnymi wkładanymi do stoika. Natomiast zbiorowa mogiła Polaków została zrównana z ziemią. Jednak za dnia Ukraińcy bali się zbliżyć do mogiły księdza i jego parafian. Jeśli przyjeżdżali Polacy, to towarzysząc im w drodze na cmentarz Ukraińcy nie podchodzili do mogiły księdza. A gdy już to nastąpiło, w żadnym wypadku nie pozwalali sobie robić zdjęć przy grobie.

Dopiero w połowie lat 50. Ukraińcy, którzy poczuli się do wdzięczności wobec księdza-lekarza, zaczęli wyłamywać się z zakazów podpilla (podziemia). Ukrainka Elżbieta Horbacz z wdzięczności za uratowanie jej córce życia nocą postawiła na grobie ks. Szczepankiewicza metalowy krzyż. W latach 60. podczas modlitw na grobach zmarłych nie omijano już grobu księdza, choć zbiorowa mogiła Polaków jeszcze dla Ukraińców jakby nie istniała. Dopiero po zbudowaniu pomnika w 2008 roku Ukraińcy bez cienia strachu zaczęli odwiedzać zbiorową mogiłę Polaków, klękają przed krzyżem, modlą się, składają wieńce, kwiaty i palą znicze. Starsi z melancholią czytają nazwiska sąsiadów i kuzynów wyrte na granitowych płytach i wspominają czasy, kiedy za sąsiadów mieli Polaków i żyli z nimi w przykładowej zgodzie.

Większość ihrowickich Ukraińców wyraża mi wdzięczność za zbudowanie pomnika. Zrozumieli, że zamordowani Polacy są godni upamiętnienia. Jest coś niezwykłego

i wzruszającego w tym, że po 65 latach nie wygasta ich pamięć o polskim księdzu, który w ich sercach i umysłach zapisał się jako wspaniały lekarz, wielki autorytet moralny i wzór służby Bożego. Wiele razy byłem w Ihrowicy starając się o zgodę na budowę pomnika. Za każdym razem słyszałem od miejscowych Ukraińców: *Takoho czołowika zabyły. Win buw dobrym czołowikom i likarom, a za likuwanije ne braw zapłaty (Takiego człowieka zabili. On był dobrym człowiekiem i lekarzem, a za leczenie nie brał zapłaty).*

ZACIERANIE PRAWDY

Mortui viventes obligant – umarli zobowiązują żywych – głosi łacińska sentencja. Dusze zamordowanych upominają się o prawdę i pamięć rodaków. Oni zginęli za Polskę. Należy im się od nas chrześcijański pochówek. Ci, którzy uniknęli bandyckiego topora na Kresach, szczególnie odczuwają ten obowiązek.

Są miejsca i chwile, które trwale przechojemy w pamięci, i są tacy ludzie, których nie sposób zapomnieć. Takim wydarzeniem był mord wigiliiny w Ihrowicy i takim człowiekiem – ksiądz Szczepankiewicz – kapłan wielkiej godności i wielkiego serca. Za życia i w chwili śmierci ratował bliźnich. Zabili go ci, którzy mieli u niego dług wdzięczności. Piszę te słowa z obowiązku podziękowania za to, że przeżyłem z rodziną dzięki niemu. Myślę, że widząc nad głową siekiere ksiądz zadał sobie pytanie: Czy zasłużyłem na taką śmierć? Odpowiedzią był cios. Jaka szkoda, że głosu w tej sprawie nie mogą zabrać martwi ...

Potworną zbrodnią wycinania Polaków w pień – jak mówili „od małego do starocho” – Ukraińska Armia Powstańcza zhańbiła naród ukraiński. Jedną trzecią jej ofiar stanowiły dzieci! Wykonując przykazania OUN sformułowane w „Dekalogu” nacjonalisty ukraińskiego podeptała wszystkie przykazania Boskie. Walka rzekomych „partyzantów” UPA z dziećmi, kobietami i starcami to historia gwałtów i przemocy o stopniu barbarzyństwa przekraczającym skalę nawet XX-wiecznych europejskich totalitaryzmów. Tego nie można zapomnieć, przemilczać. Tymczasem mordy UPA na Kresach są od lat uporczywie wymazywane z pamięci Polaków. Dzieje się to jakby wbrew przestrodze Jana Pawła II, że naród, który zapomina

o swojej historii, jest skazany na zagładę. Jeden ze znanych publicystów napisał, że pamięć o zbrodniach ukraińskich na Polakach jest dziś spychana do pamięci rodzinnej i prywatnej. I są to słowa trafne.

Dziwi i boli postawa naszej hierarchii kościelnej, która niechętnie porusza temat zbrodni UPA. Nic dziwnego, że wśród Kresowiaków utarło się ironiczne powiedzenie, że najważniejszym świętym w polskim Kościele jest Święty Spokój i nie należy go burzyć tematem mordów. Przykładem tego milczenia jest sprawa zamrożenia procesów beatyfikacyjnych księży męczenników, którzy zostali uśmierceni razem ze swoimi parafianami na Kresach. Księża ginęli przy ołtarzach, podczas sprawowania nabożeństw. Zabijano dzieci przystępujące do pierwszej komunii świętej. Niektórzy z księży mogli uniknąć śmierci – jak choćby proboszcz Szczepankiewicz – a jednak nie opuścili parafian i Kościoła.

Dlatego dla Polaków pochodzących z Ihrowicy i części zamieszkujących tę wieś obecnie Ukraińców kapłan ten jest Świętym Człowiekiem. Nie przekonuje nas tłumaczenie, że kresowi księża ginęli z przyczyn narodowościowych, co ma być przeszkodą w beatyfikacji ich jako męczenników za wiarę. Zbrodnia nacjonalistów ukraińskich miała swoje podstawy w faszystowskiej i antychrześcijańskiej doktrynie Dmytro Doncowa. Skoro nie istnieją już prawne przeszkody dla beatyfikowania księży będących ofiarami zbrodniczych systemów totalitarnych – hitlerowskiego nazizmu i sowieckiego komunizmu – to dlaczego nadal istnieje bariera dla beatyfikacji ofiar integralnego nacjonalizmu ukraińskiego, równie zbrodniczego co bezbożnego – jak narodowy socjalizm i komunizm?

Nie do zaakceptowania są dla nas pseudopolityczne argumenty, że nie należy przypominać nacjonalistom ukraińskim ich zbrodni na Polakach, ponieważ ich to osłabia, a przecież stanowią główną antyrosyjską siłę na Ukrainie, i to Polsce powinno zależeć na tym, aby dzięki nim Ukraina nie dostała się pod wpływ Rosji. Tego typu argumentacja, zwana także doktryną Giedroycia, to czystej wody makiawelizm polityczny nie do pogodzenia z nauką Kościoła. To dlatego uhonorowanie prezydenta Ukrainy Wiktora Juszczenki, który rozniecił na Ukrainie za-

chodniej kult zbrodniarzy Stepana Bandery i Romana Szuchewycza, doktoratem honoris causa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego spotkało się z tak potężnym protestem Kresowian i wielu absolwentów tej uczelni. Nie godzi się katolickiej uczelni wyznawać zasady „cel uświęca środki” i nagradzać piewcę Ukraińskiej Powstańczej Armii. Jak może katolicka uczelnia podzielać opinię takich „ekspertów” od polityki międzynarodowej jak choćby prof. Jerzy Pomianowski, który w imię mrzonek politycznych potrafi poniżyć Polaków wypędzonych z Kresów nazywając ich szowinistami, bo rzekomo zaszkadzili ukraińskim „narodowcom” wygrać wybory.

Nie tylko mam prawo, ale i obowiązek pisać i opowiadać to, co przeżyłem i co na własne oczy widziałem, kiedy UPA mordowała dzieci, kobiety i starców – bom ocalał z rzezi. Do dziś słyszę rozpaczliwe krzyki palących się bliskich mi ludzi i odgłos uderzeń młotów rozbijających drzwi plebanii. Przez 14 lat starałem się o zezwolenie na uporządkowanie zbiorowej mogiły Polaków w Ihrowicy i postawienie krzyża. Wspierał mnie śp. minister Andrzej Przewoźnik. Jeździłem, prosiłem, przekonywałem, że uporządkowanie tego grobu nie pogorszy stosunków polsko-ukraińskich, ale je polepszy. Ostatecznie dzięki pomocy Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, mojej determinacji, a także dobrej znajomości języka ukraińskiego uzyskaliśmy zgodę na zbudowanie pomników nie tylko w Ihrowicy, ale i w Bereżowicy Małej, Płotycy i Łozowej (cmentarz w Szlachcicach), bo w tej części Tarnopolszczyzny średnio co 7 kilometrów jest jakaś zbiorowa mogiła Polaków pomordowanych przez UPA. Prawda i pamięć nie zburzyły stosunków polsko-ukraińskich w tych miejscowościach, ale je polepszyły, co jednak jest chyba najmniej ważne dla różnego autoramentu pro-banderowskich polityków nawet z tytułami profesorskimi.

* Ks. prof. Józef Wołczański, *Eksterminacja narodu polskiego i Kościoła Rzymskokatolickiego przez ukraińskich nacjonalistów w Małopolsce Wschodniej w latach 1939–1945. Materiały źródłowe*, t. I i II.

Antoni Dwojak

Smak boskiej czeremchy

Przekwitły już czeremchy. Jeszcze czuję w nozdrzach ich intensywny, specyficzny i niepowtarzalny zapach. W lipcu pojawiają się na nich grona czarnych aromatycznych owoców o cierpkawym smaku. Na swojej posesji posadziłem kilka czeremch. Przypominają mi one smak tej czeremchy sprzed siedemdziesięciu lat w rodzinnej wsi Boski w powiecie tłumackim¹. Droga przez Boski do Tłumacza biegła dołem, jakby wąwozem, a po obu jej stronach na wysokich brzegach stały zabudowania gospodarskie. Za płotem naszego podwórka na tym brzegu rosły trzy potężne czeremchy. Ja ze starszą siostrą i dziećmi sąsiadów wdrapywaliśmy się na płot, a z płotu na czeremchy i zajadaliśmy się ich aromatycznymi i cierpkimi owocami – po takich ucztach mieliśmy aż zeszywniałe języki. Kwiaty i owoce moich czeremch przypominają mi radosne i beztróskie lata dzieciństwa spędzone w rodzinnych Boskach w mojej Małej Ojczyźnie.

Nasza wieś i wieś Okniany położone są u podnóża zachodniej strony Płyty Podolskiej, która ciągnie się aż na Wołyń. W Krzemieńcu z Góry Bony widać jej zakończenie spadziстым uskokiem, który do czasów II RP był nagi. Z polecenia Marszałka Józefa Piłsudskiego zbrocze to zalesiono i dziś rosną na nim piękne świerki. Niedaleko od Bosków – około 6 km – Płytą Podolską płynie Dniestr, w XVII wieku największa rzeka Polski. Jako dziecko byłem raz nad Dniestrem we wsi Dumka. Rzeka zrobiła na mnie wielkie wrażenie swym ogromem i bardzo dużą szerokością.

Droga z Bosków do Oknian biegnie równoległe do uskoku Płyty Podolskiej i w kilku miejscach u podnóża uskoku leżą jakby oderwane z Płyty Podolskiej olbrzymie wapienne głazy. Legenda związana z największym z tych głazów mówi, że kiedyś w Oknianach był bardzo niedobry dziedzic. Jechał on bryczką u podnóża Płyty Podolskiej, z Płyty oderwał się potężny głaz i przy-

gniótł dziedzica. Myślę, że ta legenda jest „zemstą ludzi” na złym dziedzicu.

Tragedią naszego życia jest to, że nas z naszych ukochanych Bosków brutalnie wypędzono. W sobotnią noc w lutym 1945 roku banderowcy na drzwiach kościoła w Oknianach przybili kartkę z napisem: *Lachy, jeśli w ciągu 24 godzin nie wyprowadzicie się z waszych domów, osiągnie was ręka ukraińskiej sprawiedliwości. Lachy, jeśli w ciągu 24 godzin nie wyprowadzicie się, to będziemy maczać ręce po łokcie w waszej krwi.* Ksiądz proboszcz Jerzy Doleżał w niedzielę powiadomił o tym parafian, doradzał i nalegał, by Polacy uciekali do Tłumacza. My, mamusia i ja z siostrą (ojciec był wywieziony na roboty do Niemiec), rodzina wujka Michała Zakowicza z Oknian i rodzina Mikołaja Koziarskiego od lutego do maja 1945 roku mieszkaliśmy w Tłumaczu w Domu Sokoła przy ulicy Wierzbowej.

W maju 1945 roku z Tłumacza przeprowadziliśmy się do Stanisławowa i z rodziną wujka Jana Zakowicza mieszkaliśmy w dzielnicy Majzle nieopodal stacji kolejowej przy zakręcie drogi na wiadukt kolejowy; nazwy ulicy nie pamiętam.

Pod koniec czerwca 1945 roku ze Stanisławowa wywieziono nas w towarowych odkrytych wagonach z Ziemi Utraconych na Ziemię Odzyskane (o przeszło 70 tysięcy km² mniejszych od Ziemi Zagarniętych). Na Zachód jechaliśmy trzy dni. W nocy nasz transport przyjechał do Legnicy, a z Legnicy został cofnięty na stację kolejową Mąkoszyce w powiecie Brzeg. Tam kazano nam się wyładowywać i zamieszkaliśmy w Mąkoszycach. Gdy teraz odwiedzam Mąkoszyce – jeżdżę tam na groby bliskich – to jest to piękna wieś. Ale w czerwcu 1945 roku, kiedy wyładowywaliśmy się z pociągu, miałem takie uczucie, którego nie zapomnę do końca życia. Myślałem wówczas: Boże, nasze Boski były takie piękne, a tu jest brzydko. Miałem wrażenie, jakby mnie żywcem zamykano w trumnie.

Tragedia mieszkańców Bosków polega też na tym, że nie możemy odwiedzić naszych ukochanych stron, bo pewnej marcowej nocy banderowcy spalili wieś. Z Bosków pozostał tylko jeden dom, leżący z dala od wsi na Płycie Podolskiej, dom w którym mieszkał Ste-



fan Sosnowski, u którego mieścił się punkt skupu mleka; jak mówiono – „mleczarnia”.

Blisko nas po drugiej stronie drogi mieszkał Jan Dwojak o przezwisku Zakutny. Zginął tragicznie. Pracował w mieszczącym się w pobliżu Bosków wapiennych kamieniołomach i został przygnieciony przez spadającą wapienny gład. Jego ojciec Piotr służył w wojsku w czasie I wojny światowej i po wojnie pozostała mu „pamiątka” w postaci wrzodów na nogach. Staruszek nie mógł chodzić. Kiedy jego rodzina uciekała do Tłumacza, on postanowił, że zostanie w domu. Banderowcy spalili go żywcem wraz z zabudowaniami, kiedy palili Boski.

Za Oknianami, z dała od wsi, przy drodze w kierunku Bratyszowa, mieszkała 13-osobowa rodzina Feliksa Fasy. W lutym 1945 roku pan Feliks z najstarszym synem Józefem pojechał na targ do Tłumacza. Kiedy wrócili z targu, nie zastali nikogo w domu. Zajrzeli do studni i zobaczyli, że woda w studni jest czerwona. Banderowcy małe dzieci – najmłodsze miało kilka miesięcy – zarżnęli i wrzucili do studni, a żonę i starsze córki pogwałcili, uprowadzili, zarżnęli i wrzucili do Dniestru.

I jeśli banderowiec Józef Myka mówi, że OUN-UPA nigdy i nikogo nie mordowała, to łąże. Nie kto inny tylko sam Leonid Krawczuk, pierwszy prezydent Ukrainy, 19 maja 1992 roku w Warszawie powiedział, że z rąk oprawców spod znaku OUN-UPA zginęło około pół miliona Polaków².

Lwowski historyk – B. Iwaszuta – jeszcze w roku 1954 obliczył, że z rąk OUN-UPA oraz innych szowinistów ukraińskich

zginęło 685 000 byłych obywateli II RP – Polaków i Żydów. Inni historycy ukraińscy M.W. Warwarcow i O. Dobrecowa liczbę tę podwyższyli do 800 tys.³ A ja myślę, że biorąc pod uwagę czas trwania mordów od września 1939 r. do „Akcji Wisła” w 1947 r. i olbrzymi obszar, na którym trwały mordy, śmiało można przyjąć, że z rąk ukraińskich nacjonalistów w męczeński sposób zginęło około 1 mln Polaków.

Nie mogę zrozumieć, dlaczego nasi historycy zaniżają liczbę ofiar i piszą tylko o 100 do 200 tysięcy zamordowanych. Zaniżając wielokrotnie liczbę ofiar idą na rękę ukraińskim nacjonalistom, bo w interesie morderców jest zaniżanie liczby ofiar i pomniejszanie w ten sposób swoich win.

Jakże polscy „znawcy” tematu mogą napisać o 200 000 ofiar, skoro tylko od 1 do 16 września 1939 roku ukraińscy nacjonałści zamordowali około 550 000 polskich uciekinierów na Kresy i polskich żołnierzy, będących w mniejszych zgrupowaniach, powracających do swoich rodzin na Kresach. *Nacjonałści ukraińscy rozbierali ich zabierając ubrania i buty, gołych wiązali kolczastym drutem i żywcem zakopywali do ziemi*⁴.

Jeśli Stalina i Hitlera uznaje się za największych zbrodniarzy w dziejach świata, bo mają na swoich kontaktach dziesiątki milionów ofiar, to Bandera był najokrutniejszym zbrodniarzem w dziejach świata, bo tylko jego OUN-UPA miała opisane aż 362 sposoby mordowania Polaków. Przywódców OUN-UPA obciąża „tylko” 1 500 000 ofiar⁵, ale nie dlatego, że byli oni litościwi, ale dlatego, że nie dysponowali tak olbrzymim aparatem zbrodni jak Stalin i Hitler. Jak podaje Wiktor Poliszczuk, UPA w okresie największego swego rozkwitu, tj. na początku 1944 roku liczyła około 40 000 banderowców⁶.

Jeśli Dmytro Pławyczka i Myroslaw Czech głoszą, że UPA jest chlubą i dumą Ukrainy, to tak jak UPA przynoszą wstyd i hańbę Ukrainie. Naród ukraiński odcina się od doncowsko-banderowskiej ideologii i haniebnych mordów OUN-UPA. W. Poliszczuk pisze: „Mordowanie Polaków nie było sprawą Ukraińców, jako członków narodu ukraińskiego, lecz jako członków OUN, jako zwolenników ukraińskiej nacjonalistycznej zbrodniczej ideologii i polityki”⁷. W PRL-u stosunkowo wiele mówiło się o zbrodniach niemieckich faszystów. W II RP dość dużo mówi

się o mordach popełnionych przez NKWD na Polakach. A najmniej – w imię źle pojętej poprawności politycznej z Ukrainą – mówi się o największej i najokrutniejszej zbrodni popełnionej przez ukraińskich nacjonalistów. Nasi politycy powinni w końcu zrozumieć, że dobrosąsiedzkich stosunków z Ukrainą nie można budować na fałszu i zakłamaniu. Ofiarom ukraińskich mordów należy się cześć i pamięć.

By z tą świadomością dotrzeć do naszego społeczeństwa, proponuję, by na parafialnych i komunalnych cmentarzach umieścić krzyże z metalowymi tabliczkami z napisem *Pamięci Polaków pomordowanych przez bandy spod znaku OUN-UPA*. W ten sposób niedużym kosztem można by ocalić pamięć o męczeńsko pomordowanych Rodakach.

W Legnicy w kościele św. Jana co roku w niedzielę najbliższą dacie 11 lipca, dacie największego mordu dokonanego przez OUN-UPA na Polakach na Wołyniu, odprawia się mszę za pomordowanych Polaków na Kresach. W nocy z 10 na 11 lipca 1943 roku na Wołyniu banderowcy spalili 167 polskich wsi i osad oraz zamordowali od 14 000 do 17 000 Polaków – różne źródła podają różne liczby. Czy za przykładem Legnicy nie należałoby upamiętniać męczeńską śmierć pomordowanych we wszystkich parafiach w Polsce? Ta śmierć w pełni na to zasługuje. Taką propozycję poddaję pod rozważę Episkopatowi Polski.

Zakończę akcentem osobistym.

Nie ma już moich ukochanych Bosków. Żyją one tylko w mojej pamięci i w pamięci żyjących jeszcze mieszkańców Bosków. Banderowcy spalili tysiące polskich wsi, często wraz z ich mieszkańcami. A ludzi będących w sytuacji podobnej do mojej są miliony.

¹ Województwo stanisławowskie.

² *Kresy Wschodnie we krwi polskiej tonące*, praca zbiorowa pod red. Jana Sokoła i Józefa Sado, s. 161.

³ jw., s. 185.

⁴ jw., s. 283.

⁵ jw., s. 16, 184, 300.

⁶ W. Poliszczuk, *Gorzka prawda. Zbrodniczność OUN-UPA*, s. 267.

⁷ jw., s. 214.

Maryla Wolska

Majowe nabożeństwo

Fragmenty

Świec jarzających tyle
I rozwiniętych kwiatów snopy zżęte
I ziół pachnących wilgotne badyle
W blask przed Jej Stopy położone święte –
Maj...

Wszystko mówi dziś do Ciebie
Głosy ludzkie, kwietne, wietrzne
I doczesne i przedwieczne –
Wszystko się u Stóp Twych kaja
Pąki w sadach, ziarna w glebie
Wszystko garnie się do Ciebie
Ty gwiazdzista Pani Maja!
W kaplicy ciemno, jeno Ołtarz płonie...

Pani Anielska!
Ja w Ciebie wierzę i wiem, że Ci dano
W tę chwilę świętą, krótką, w tę wiośnianą
Godzinę Łaski – na ziół świeżych woni
Pojmować niemą chorych dusz wymowę
I niewidzialnym położeniem dłoni
W te zmierzchy ciepłe, ciche, fioletowe
Uciszać skrzydeł krwawych szum i burze
Myśli zawładnąć...

Mistyczna Różo
I Bramo Złota!
Daj pieśniom moim moc lotu skrzydlatą
A duszy mojej – czysty, górny ton
Ciszę mi jasną i pogodę daj
I wczasy zbożne i słoneczne lato
Jesień owocną – i plon!...

Ten wiersz znalazłam w archiwum mego wuja dr. Jacka Jedlińskiego, lwowianina.

Wuj pisze, że dostał go w liście od przyjaciela, który spędzał wakacje w rodzinnym majątku Wolskich w Perepelnikach na Podolu i znał autorkę wiersza. Opisuje ją – piękna pani, dorodna brunetka typu matejkowskiego. Matka jej, jak wiadomo, była narzeczoną Artura Grottgera. Jacek Jedliński pisze: *Bywałem także w Perepelnikach u Wuja Józefa Podoskiego, który majątkiem zarządzał. Byłem zbyt mały i zbyt absorbowany mnie rozrywką wieku „sielskiego i anielskiego”, ale z przelotnych spotkań, strzępów zasłyszanej rozmowy, po latach dopiero zdałem sobie sprawę z atmosfery patriotycznej kresowego dworu, który żył tradycjami 1863 roku i narodzinami „Młodej Polski”, reprezentowanej tu przez L. Staffa.*

Ryszard Legutko

POLSKIE OPOWIEŚCI

Niniejszy tekst jest rozdziałem z książki prof. Ryszarda Legutki pt. „Eseje o duszy polskiej”

Historia zerwanej ciągłości ma swoje symboliczne opowieści. Takich opowieści – indywidualnych i zbiorowych – jest wiele, a niemal każdy, kto żył wystarczająco długo w PRL-u, ma jakąś swoją wersję. Z wielu możliwości wybrałem trzy, a motywacją ich wyboru było własne doświadczenie.

Z pewnością jedną z najbardziej dramatycznych jest opowieść o Lwowie, czarowym polskim mieście, które decyzją naszych sojuszników zostało nam odebrane, a wkrótce także zamordowane, i to niekoniecznie w metaforycznym sensie tego słowa. W rękach nowych właścicieli Lwów, miasto kupiecko-urzędniczo-akademickie, szybko straciło swój charakter. Prawowitych mieszkańców – kupców, urzędników i akademików – wygnano, wywieziono bądź wymordowano. W piękne pałace, kamienice, posiadłości, kościoły weszli ludzie znikąd, nie mający nawet świadomości, co przejmują i jakie powinni mieć wobec przejętych dóbr zobowiązania. I tak zniknął kilkusetletni kawał polskiego doświadczenia, a wraz z nim zniknęli ludzie, budynki, dzieła sztuki, przedmioty, w które wpisane były dorobek i pamięć. To, co pozostało po dawnych właścicielach, szarzało, niszczało, rozpadało się. Parki pozarastały chaszczami, cmentarze ulegały dewastacji, a pamięć ludzka powoli słabła i obojętniała.

Lwowski świat przestał istnieć, czyniąc wielką wyrwę w polskim pojmowaniu historii i tożsamości narodowej. Proces rozpadu i odrywania Lwowa nie dokonywał się wyłącznie samoczynnie. Można było dostrzec świadomą intencję niszczycielską motywowaną resentymentem i nienawiścią. Nowi mieszkańcy Lwowa dewastowali miasto, bo nie rozumieli jego wartości, nie darzyli

afektem jego dorobku, nie poczuli się do obowiązku zachowania ciągłości. Ale też zaznawali trochę złej i niskiej radości niszcząc ślady pańskiej Polski, a przez to utwierdzając się w swojej władzy. Stąd wizyta we Lwowie zawsze nasuwa tę myśl, iż stary Lwów nie tyle przestał istnieć na mocy bezosobowych wyroków, ile został z pełną świadomością zamordowany.

Polskie podróże do Lwowa są zawsze przygnębiające, choć zapewne przeżywane bardzo indywidualnie. Moje podróże, które podjąłem dość późno, bo już po upadku ZSRR, też nie przynosiły pocieszenia. Pojąłem w sposób zmysłowy to, co wcześniej było dla mnie intelektualnie, a mianowicie, że rewolucja komunistyczna w istotny sposób się powiodła, bo odebrała Polakom tak wiele, iż nie mogli odtworzyć umysłowego, społecznego i duchowego stanu posiadania okresu przedrewolucyjnego. Bo choć Lwów był jeden i niepowtarzalny, to przecież miejsc podobnie jak on unicestwionych było znacznie więcej, nie tylko na kresach, lecz także poza nimi. Trudno zliczyć miasta, miasteczka, domy, posiadłości, majątki rodzinne i wspólnotowe, które uległy likwidacji, grabieży, destrukcji czy aneksji. W tym sensie Polacy po 1945 roku nie odbudowywali swojej ojczyzny, tak jak robiły to inne narody doświadczone przez wojnę. Myśmy raczej budowali nową Polskę, bo stara nie istniała w takim stanie, by można ją było odbudowywać.

Podróże do Lwowa nasunęły mi jeszcze jedną myśl. Może losy tego miasta symbolizują w jakimś głębszym sensie dzieje Polski powojennej, a w każdym razie znaczącej jej części. Może Polska, tak jak Lwów, też znalazła się w rękach ludzi znikąd, którzy weszli w posiadanie kraju bez świadomości jego wartości. Może kluczem do rozumienia Polski Ludowej jest właśnie obraz obcej grupy zdobywającej władzę nad wielkim obszarem, grupy ludzi odnoszących się z pogardą do wszystkiego, co zastali, nie rozumiejących ducha kraju, nie mających żadnego szacunku dla jego dorobku i dziedzictwa, często kierujących się wrogością wobec pańskiej Polski i z radością niszczących to, co z niej pozostało. Grupa ta stawiała sobie za cel wytrzebiecie z ludzkiej pamięci wszystkich wcześniejszych obrazów Polski, tak jak gru-

pa przejmująca Lwów dążyła do usunięcia z pamięci obrazu pięknego polskiego Lwowa, jego obyczajów i jego legendy. Taka metafora losów Polski zapewne nie przystaje do wszystkiego, co się u nas działo, ale w niemałym zakresie jest adekwatna. Piękny kraj po II wojnie szarzał, brzydł, zmieniał się w ponurą krainę. Pod pewnym względem i przez pewien czas cała Polska dzieliła więc los Lwowa, choć to, co najgorsze dla tego miasta, zostało jej oszczędzone.

Ina opowieść symbolizująca losy polskie to opowieść o Warszawie. Wspaniałe przedwojenne miasto, też posiadające własną legendę, równie barwną jak legenda lwowska, zostało zniszczone przez Niemców, a dobite przez komunistów. Historia wojennej Warszawy to historia heroizmu nieodmiennie wywołującego podziw, niezależnie od kontrowersji wokół oceny sensowności Powstania Warszawskiego. Warszawiaci broniąc się we wrześniu 1939 i prowadząc swoją walkę w 1944 roku wzięli na siebie w obu przypadkach odpowiedzialność za losy kraju. Ten obraz dzielnych warszawiaków przetrwał wszystkie historyczne perturbacje i wielką krucjatę ideologiczną przeciw Wrześniowi i przeciw Powstaniu, podejmowaną okresowo w epoce komunizmu. Stanowi bodaj najwyższy w naszej pamięci przykład zbiorowego wysiłku wojennego na obszarze polskim. Za swój heroizm warszawiacy zapłacili wysoką cenę: zniszczeniem miasta, radykalną zmianą jego substancji społecznej, a jakby tego było mało, poddaniem eksperymentowi architektonicznemu w czasach komunizmu. Warszawa to miasto nieszczęsne: piękna kiedyś, okrutnie ukarana za swoje bohaterstwo przez Niemców, a po części także komunistów, i wreszcie niemożliwie zbrzydzone przez nową władzę ludową, która na miejscu dziewiętnasto- i dwudziestowiecznej architektury wybudowała socrealistyczne i komunistyczne paskudztwa.. Dawnej urody Warszawa nie odzyskała, brzydota zaś nadanej jej przez komunistów nigdy do końca nie straciła.

Dla krakusa, takiego jak ja, przyjazd do Warszawy był zawsze przyjazdem do innej Polski. Nie miałem z tym miastem żadnych związków rodzinnych, mogących ocieplić jej percepcję, a ilekroć Warszawę odwiedzałem, czyniłem to zawsze z jakichś powodów

slużbowych, oficjalnych, a więc pozbawionych życzliwszych emocji. Miasto odbierałem więc źle, a brzydota jawiła mi się ze smutną jaskrawością. Moja percepcja nie była odosobniona. Ten charakter Warszawy przetrwał upadek ustroju, jakkolwiek samo miasto miało swoją wielką wewnętrzną dynamikę. Wpisywało się więc dobrze w rzeczywistość najpierw socjalistyczno-partyjną, a później kapitalistyczno-nowoczesną. Pod wieloma względami było i nadal jest miastem atrakcyjnym, jakkolwiek nie straciło hybrydyczności i sztuczności, a przede wszystkim nie wyzbyło się tego grzechu pierworodnego, jakim był socrealistyczny akt założycielski. Piękne miejsca w Warszawie – a jest ich niemało – wydają się więc raczej dodatkiem do miasta, przypadkowo zachowanym elementem, śladem jakiejś tajemniczej prehistorii, nie zaś jego istotą. Stąd Warszawa nowa nie posiada swojego wizerunku estetycznego, symbolicznego obrazu, przez który mogłaby być identyfikowana i kojarzona, tak jak kiedyś miała swój symboliczny wizerunek Warszawa stara i jaki do pewnego stopnia miała – na swoje nieszczęście – w czasach komunistycznej odbudowy.

Kiedy więc twierdzę, że losy Warszawy są kluczem do losów Polski ostatnich dziesięcioleci, to mam na myśli wszystkie powyżej wymienione cechy. Jak Warszawa, Polska odznaczyła się bohaterstwem i za bohaterstwo brutalnie ją skrzywdzono. Jak Warszawa, Polska została przez komunistów spaskudzona i z tej brzydoty trudno się jej wyzwolić. Jak Warszawa wreszcie, Polska to był hybrydyczny ze wszystkimi tego dobrymi i złymi konsekwencjami. Z pewnością to owa hybrydyczność sprawiła, iż w czasach komunizmu Polska była zapewne najbardziej nadającym się do życia ze wszystkich krajów bloku sowieckiego. Jest też Polska, jak Warszawa dzisiaj, krajem dużego sukcesu kapitalistycznego, jeśli pod tym określeniem będziemy rozumieć ujawnienie się ludzkiej przedsiębiorczości i rozwój umiejętności tworzenia bogactwa. Ale są też i złe skutki hybrydyczności. Mimo swojej atrakcyjności i obiektywnych oznak zaradności, Polska dzisiejsza ciągle, jak Warszawa, sprawia wrażenie kraju sztucznego, żyjącego na niby, bez wyraźnej tożsamości, bez wyraźnego wizerunku, bez identyfikowalnej dla obcych i swoich specyfiki, bez cech rozpoznawalnych wśród



innych narodów europejskich, bez samoświadomości, czym jest, jaką ma wartość i jaką rolę do spełnienia. We wszystkich akcjach propagandowo-promocyjnych Polska ma zasadnicze kłopoty z prezentacją własnego obrazu: wszystko tutaj dzia-

ła dobrze, a przecież nie istnieje nic oryginalnego, co mamy o sobie do przekazania.

Trzecią opowieścią symbolizującą losy polskie jest opowieść krakowska. Tę znam najlepiej, bo stanowi część mojego życia. Pierwsze moje doznanie nieciągłości pojawiło się dawno, bo jeszcze w czasach dzieciństwa, a jej widocznym i najbardziej poruszającym znakiem była Nowa Huta. Dzielnica zbudowana na gruntach rolnych wokół absurdalnie wielkiego kombinatu, kojarzyła się mi zawsze – urodzonemu i wychowanemu w Krakowie – ze zbiorowiskiem ludzi bez korzeni i bez ukształtowanego obyczaju. Taką opinię podzielała większość mieszkańców ówczesnego Krakowa. Mieszkałem z rodziną, a były to lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte, na obrzeżach Krakowa przedwojennego. Nie wywodziłem się jednak z miejscowej rodziny mieszczańskiej. Moja mama urodziła się i wychowała w województwie lwowskim, w środowisku bez tradycji inteligentkich. Pracowała na poczcie w Samborze i tam poznała mojego ojca, który w tym mieście odbywał służbę wojskową i grał w miejscowej drużynie piłkarskiej. Związki emocjonalne z II Rzeczpospolitą były w moim domu krakowskim jednak dość silne, co sprawiało, iż złą opinię o Nowej Hucie jako społeczności stworzonej przez komunistów decyzją ideologiczną przyjmowaliśmy jako bezdyskusyjną. To był inny świat; inny historycznie i kulturowo. Do Nowej Huty się nie chodziło – chyba że w jasny dzień i należało wrócić przed zmrokiem, bo później niebezpiecznie; mieszkanie zaś w nowohuckich blokach uchodziło za deklasację, podobnie jak chodzenie do nowohuckich szkół czy instytucji. My – krakowianie, nawet w pierwszym pokoleniu, jak moje, nawet tak jak moja rodzina ledwie

aspirujące do inteligencji – uważaliśmy się za nosicieli dobrego obyczaju, pamięci historycznej, inteligentności, ogłady, stabilności, cnót mieszczańskich oraz zakorzenionego w doświadczeniu rodzinnym antykomunizmu. My byliśmy żywym doświadczeniem zbiorowym; oni – nowohucianie – chaotyczną społecznością zdeorganizowaną przez historię, politykę i ideologię.

Nie rozumiałem wówczas, iż polskie społeczeństwo w jakimś niebłahym zakresie bliższe było temu obrazowi Nowej Huty, jakim żywiła się nasza wyobraźnia, niż ówczesnemu obrazowi nas samych. Polskie dzieje to przecież w dużej większości dzieje jednostek i grup, które po wojnie znalazły się w zupełnie nowym miejscu, nowym ustroju, nowej gospodarce i nowym obyczaju. Sama zaś Nowa Huta w którymś niezauważonym przez nikogo momencie złąła się z Krakowem i to nie tylko dlatego, iż zabudowano obszary dzielące starą część miasta z nową. To zlanie dokonało się na poziomie ludzkim, bo społeczności wtopiły się jedna w drugą, tak jak zapewne planowali inicjatorzy budowy Nowej Huty, choć niekoniecznie z przewidzianymi skutkami. Społeczność nowohucka – przypomnijmy – protestowała dzielnie przeciw komunistycznej ateizacji, a pracownicy kombinatu im. Lenina byli w roku 1980 inicjatorami ruchu w Małopolsce, który zrodził regionalną Solidarność.

Ale krakowska opowieść trwa nadal, w formie coraz bardziej zmistyfikowanej. Kraków ciągle wierzy – jak kiedyś w czasach mojego dzieciństwa – w swoją wyjątkowość, szlachetną mieszczańskość, zakorzenienie w historii. Tymczasem taki obraz już dawno nie przystaje do rzeczywistości, a krakowianie nie wyróżniają się szczególnie spośród innych miejskich społeczności. Piękne stare centrum Krakowa otoczono wielkimi obszarami blokowisk, nieodróżnialnymi od Nowej Huty ani estetycznie, ani socjalnie. Wzajemne przenikanie starego Krakowa i Nowej Huty nie skończyło się wyłonieniem stanu średniego. Powstała społeczność dość jednorodna, ani szczególnie mieszczańska, ani szczególnie robotnicza, ani wielkomiejska, ani małomiasteczkowa, ani konserwatywna, ani postępową. Krakowska społeczność dobrze odzwierciedla nastroje i nawyki całej Polski i od pewnego momentu odzwierciedlała je także w czasach PRL-u. Kraków żyje więc

przekonaniem o swojej przedwojności i, by tak rzec, antynowohuckości, podczas gdy w rzeczywistości jest w swoim nastawieniu, poglądach i obyczajach zdecydowanie powojenny i ponowohucki. O ile Warszawa jest sztuczną hybrydą bez trwałej jedności, o tyle Kraków to społeczność żyjąca w fikcyjnym przeświadczeniu, że taką trwałą jedność posiada, ponieważ – i to jest jedyny argument – zawsze ją posiadała. Losy Krakowa to także po części ilustracja losów Polski.

Kiedyś Polska mogła rzeczywiście być porównywana z Nową Hutą otaczającą Kraków, miasto będące symbolem enklaw zachowujących kulturową ciągłość. Ale takie porównanie jest już nieaktualne, choć legenda o wyjątkowości miejsca przetrwała, przekształcając się w fikcję, do której Polacy się przyzwyczaili. Przyzwyczaili się więc, niczym krakowianie, do przekonania, że historia w nich żyje, podczas gdy już dawno zapadła w stan śpiączki, być może nawet terminalnej. Przyzwyczaili się, niczym krakowianie, do poglądu, iż wizerunek ich tworzą pojedyncze miejsca o wielkiej urodzie będące zapisami dawnej świetności, natomiast nie dostrzegają wielkich obszarów zniweczonych, pozbawionych wdzięku, oderwanych od żywej przeszłości i przenikniętych byle jaką teraźniejszością. Wydaje im się, niczym krakowianom, iż stanowią ostoję wyrafinowanego i cywilizowanego konserwatyźmu – co niekiedy konstatają z dumą, a niekiedy ze złośliwą i buntowniczą drwiną, podczas gdy w rzeczywistości są wychowani w tymczasowości, przeniknięci jej duchem, a rzekome zrozumienie dla dłuższej perspektywy stanowi zaledwie mało wiarygodną pozę. Opowieść warszawska ilustruje to, kim Polacy dzisiaj faktycznie są; opowieść krakowska jest natomiast opowieścią o polskim samooszukiwaniu.

RYSZARD LEGUTKO, ur. 1949 w Krakowie, w rodzinie wschodniomałopolskiej. Studia filologii ang. oraz filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Profesor filozofii na UJ i w Wyższej Szkole Europejskiej w Krakowie. W latach 1992–2005 prowadził w Krakowie Ośrodek Myśli Politycznej. W kolejnych latach wicemarszałek Senatu RP, minister edukacji narodowej, sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP (2007). Autor wielu książek, głównie na tematy państwa i społeczeństwa.

Anna Borkiewicz-Celińska

Początki skautingu na ziemiach polskich (2)

Przedskautowe organizacje młodzieżowe również nie były zjawiskiem nowym. Wszak przez cały bez mała wiek XIX młodzież polska była w bezustannym ruchu. Ruchu, który przybierał postać stowarzyszeń, związków, kółek tajnych, jawnych i półjawnych. Związki te, grupujące głównie młodzież studencką i gimnazjalną – a także w różnych okresach i ośrodkach młodzież rzemieślniczą i robotniczą – poprzez cele pośrednie: samokształcenie, zebrania dyskusyjne, wydawanie pisemek, samopomoc koleżeńska czy choćby tylko gry sportowe i zabawy towarzyskie – wysuwały, jeśli nie od razu, to stopniowo, jako cel najważniejszy osiągnięcie ojczyzny wolnej i sprawiedliwej¹⁸. Związki te były szkołą myślenia, ponieważ cały system wychowania był przestarzały; one były szkołą współżycia społecznego i działania organizacyjnego; one sprawiły, że młodzież dojrzywała wtedy tak szybko i że na wielką potem żyła skalę¹⁹.

Dążenie do sprawiedliwości społecznej, wyrażające się w szczególnej czci, jaką otaczano hasła wolności, równości i braterstwa, było – prócz patriotyzmu – jednym z podstawowych kanonów wiary dziewiętnastowiecznych związków młodzieży²⁰. Podkreślić wypada, że miłość ojczyzny nie miała u młodzieży polskiej cech szowinizmu. Dowodem tego były otwarte drzwi związków młodzieżowych dla innych narodowości, a zwłaszcza obecność przedstawicieli narodów zaborczych, młodych Rosjan i Niemców (czasem synów wysokich urzędników administracyjnych) w wielu polskich stowarzyszeniach.

Byłoby oczywiście uproszczeniem twierdzenie, że z ruchu młodzieżowego, z tajnych i jawnych kół organizacyjnych rodziły się polskie powstania. Były one bowiem rezultatem różnorodnego i skomplikowanego mechanizmu wydarzeń politycznych, społecznych, gospodarczych, a także kulturalnych. Ale jed-



nak – któż aktywizował Warszawę przed powstaniem listopadowym? Wszak to młodzież szkolna i studencka urzędowała wówczas manifestacje patriotyczne, nawiązujące do rocznic i tradycji narodowych. To młodzi ze Szkoły Podchorążych Piechoty i związani z nimi studenci i młodzi literaci byli trzonem spisku, który spowodował

wybuch powstania listopadowego. Karol Levittoux nie miał jeszcze lat dwudziestu, gdy założył swój tajny związek. Podobnie potem, przed powstaniem styczniowym: któż kolportował w Warszawie patriotyczne odezwy i ulotki, kto agitował wśród rzemieślników, kto urządził „kocie muzyki” rodakom sprzeciwiającym się manifestacjom, kto pisał na murach stolicy w przeddzień zjazdu trzech monarchów: *Zlatują się kruki, siedźcie w domu gawrony!* Tak zwane „łobuzy” zniszczyły wówczas kwasem siarkowym urządzenie łoża dworskiej w Teatrze Wielkim, gdy wystawiano balet na przyjęcie dostojnych gości, a suknie dam polały wotriolem²¹. To właśnie studenci Szkoły Sztuk Pięknych, Akademii Medycznej, Instytutu Agronomicznego na Marymoncie, a także młodzież gimnazjalna i rzemieślnicza inspirowali i organizowali „nieporządk” w kilkuletnim okresie poprzedzającym powstanie styczniowe, a potem byli powstania tego głównymi aktorami. Dodajmy, że to właśnie młodzież podjęła zdecydowaną walkę o szkołę polską w zaborze rosyjskim w 1905 roku. Walka ta trwała przez wiele lat, a młodzież, pomimo największych trudności i różnych nacisków, podtrzymywała sztandar swoich postulatów z niezłomnym uporem²².

Znakomity znawca problemu, a przede wszystkim znawca młodzieży, Aleksander Kamiński pisze, że *poczynając od drugiego dziesięciolecia XIX wieku młodzież wielu krajów Europy była jedną z sił prekursorskich idei wyzwoleniczych, postępu społecznego, rewolucji; że w niektórych miejscach i latach decydowała o dynamice ruchów rewolucyj-*

nych; że niekiedy sama jedna reprezentowała na danym terenie ruch rewolucyjny – to wszystko nie budzi wątpliwości.

Na pierwszych dwu stronach pierwszego numeru „Skauta” Andrzej Małkowski zamieścił jako programowy wiersz Ignacego Kozińskiego. Zaczynał się on od słów:

*Wszystko co nasze ojczyźnie oddamy.
W niej tylko życie... więc idziem, by żyć!* Po roku, gdy Olga Drahonowska-Małkowska dostosowała do tego wiersza melodię pieśni rewolucyjnej „Na barykady ludu roboczy” i wzbogaciła refrenem *Ramię pręż* – stał się on hymnem harcerstwa²³.

W hymnie tym została wyrażona cała treść ideologiczna ówczesnego ruchu skautowego na ziemiach polskich, co miała potwierdzić najbliższa przyszłość. Wybuch wojny światowej zahamował wprawdzie pracę w drużynach, lecz jednocześnie większość drużynowych i w ogóle starszych harcerzy wstąpiła do Legionów Piłsudskiego²⁴!, m.in. prawie wszyscy harcerze lwowscy, następnie drużyny krakowskie, kieleckie i częstochowskie, z Będzina i Sosnowca. Była to młodzież nie tylko wartościowa pod względem patriotycznym, lecz także przygotowana „fachowo”. Wszak ćwiczenia miały w swej większości charakter przysposobienia wojskowego; terenoznawstwo, przerabianie podręczników regulaminów wojskowych, nauka o broni – oto tematyka tychże ćwiczeń²⁵.

Nie wszyscy instruktorzy i starszyzna harcerska poparli Piłsudskiego.

Np. w Warszawie w roku 1915 Naczelna Komenda Skautowa sprzeciwiła się połączeniu z Legionami, wysuwając konieczność współdziałania Polaków z wojskami koalicji. Wybitny działacz skautowy, lecz równocześnie o orientacji narodowo-demokratycznej, ks. Kazimierz Lutostański, wypowiedział się stanowczo przeciwko idei czynu zbrojnego. Jego stanowisko wywołało rozłam w szeregach skautingu, lecz mimo to, gdy Warszawa została w sierpniu 1915 roku zajęta przez Niemców, większość drużynowych zgłosiła się do Legionów²⁶.

W zaborze austriackim także były rozdziewięki: Andrzej Małkowski, działający wówczas na terenie Zakopanego, od razu włączył się do ruchu legionowego (zresztą wkrótce Legiony opuścił), lecz np. Związkowe Naczelnictwo Skautowe we Lwowie, reprezentujące ideologię Narodowej Demokracji, było

temu absolutnie przeciwne²⁷. Na terenie Poznania skauting stał się organizacją półjawną (Niemcy pochłonięci wojną stali się bardziej tolerancyjni wobec ludności polskiej), co wpłynęło zarówno na rozszerzenie się organizacji, jak i na zdynamizowanie ruchu. Trwało to jednak niedługo, gdyż już wiosną 1918 roku praca skautowa musiała wejść znowu do konspiracji²⁸.

Wspomniany rozłam skautingu w Królestwie, spowodowany różnym stosunkiem do Legionów Piłsudskiego, przejawiał się w utworzeniu Polskiej Organizacji Skautowej, niezależnej od Naczelnej Komendy Skautowej²⁹. A jeszcze osobno od tych dwóch organizacji rozwijały się drużyny żeńskie w Związku Skautek Polskich oraz młodzież wiejska i rzemieślnicza skupiona w organizacji skautowej pod nazwą „Junactwo”. Rozczłonkowanie to trwało jednak niedługo. Rozłam został ostatecznie przezwyciężony, gdy ks. Lutosławski wraz z innymi zwolennikami Narodowej Demokracji znaleźli się na uchodźstwie w Rosji, gdzie utworzyli ośrodek polskiego skautingu w Moskwie, Kijowie, Piotrogradzie i na Syberii, z naczelnictwem skautingu w Kijowie.

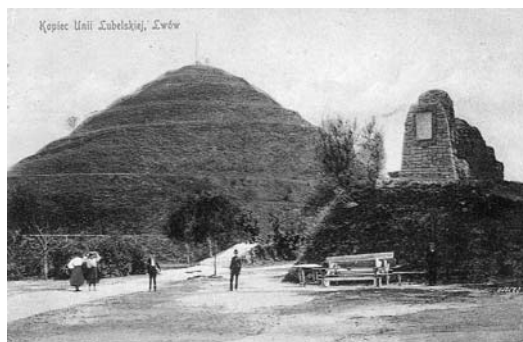
1 listopada 1918 roku nastąpiło połączenie istniejących na terenie Królestwa organizacji skautowych w jeden Związek Harcerstwa Polskiego. Wspólnymi odznakami połączonych organizacji stały się krzyże Naczelnej Komendy Skautowej i lilijki Polskiej Organizacji Skautowej³⁰. Przewodniczącym Komendy Naczelnej ZHP obrano ks. Jana Mauersbergera.

Tak więc gdy w pierwszych latach istnienia harcerstwa głównym ośrodkiem ruchu skautowego był Lwów, obecnie rolę tę przejęła Warszawa³¹. W listopadzie 1918 roku, z chwilą powrotu do Warszawy Piłsudskiego z Magdeburga, utworzono ze starszych harcerzy 3 kompanie, które wzięły czynny udział w rozbrajaniu Niemców, wspierając miejscowe grupy POW. Ważną rolę odegrało wówczas utworzone przez harcerstwo „Pogotowie Młodzieży”. Służba w „Pogotowiu”, polegająca na pilnowaniu gmachów publicznych, banków, magazynów, urzędów, dworców kolejowych, objęła młodzież młodszą. Będąc w różnych miejscowościach czasem jedyną organizacją utrzymującą porzą-

dek i karność, wykazało „Pogotowie” swoją niezwykłą użyteczność.

W połowie listopada powstał w Warszawie batalion harcerski, który skupił w swoich szeregach wielu harcerzy spoza Warszawy, głównie z Łodzi i Kalisza. Dowódcami byli oficerowie-harcerze: por. Tadeusz Młodkowski, por. Jerzy Wądołowski, Tadeusz Gutowski, Piotr Olewiński. W kwietniu 1919 roku batalion został wcielony do I Dywizji Legionów, z części jego uformowano oddział przyboczny naczelnego wodza Józefa Piłsudskiego. Gdy 8 maja 1919 roku harcerze warszawscy wystąpili przed Naczelnikiem Państwa, Okrąg Stołeczny pod komendą Stanisława Rudnickiego wystawił 1450 chłopców.

Harcerze odegrali niemałą rolę w walkach lat 1918–1921, pełniąc służbę bądź w wojskach liniowych, bądź – w zależności od wieku – w różnego typu formacjach pomocniczych, bądź służbę informacyjną i bezpieczeństwa w określonych rejonach. Znaczny był udział harcerzy w Powstaniu Wielkopolskim. Skauci na tym terenie już przedtem współpracowali z ruchem niepodległościowym, np. pomagając POW w organizacji biur werbunkowych. Poznańska kompania skautowa, utworzona z inicjatywy Wincen-tego Wierzejewskiego, brała udział w zdobyciu fortu Grollmana, w zajęciu lotniska w Ławicy, w krwawych walkach pod Lesznem, Rawiczem, Szubinem. Skautki pełniły funkcje sanitariuszek i kurierek, pracowały w szpitalach, biurach i kuchniach polowych. To samo działo się na Śląsku. W trzech powstaniach śląskich, które przesądziły o połączeniu Górnego Śląska z macierzą, czyn harcerzy był poważnym wkładem. Polegał on zarówno na udziale w walce zbrojnej, jak i w akcji plebiscytowej. Właśnie w okresie górażęcej akcji propagandowej, poprzedzającej



Kopiec Unii Lubelskiej we Lwowie. Obok widoczne resztki murów Wysokiego Zamku

plebiscyt, zostało faktycznie zorganizowane harcerstwo na Śląsku (pierwsze drużyny, zorganizowane tamże w 1913 roku, przerwały swą działalność z chwilą wybuchu wojny światowej). Stało się to w ten sposób, że dwunastu młodych ludzi wyjechało w marcu 1920 roku do Warszawy na specjalny kurs zorganizowany przez Wydział Plebiscytowy, powołany ówczesnie przez Naczelnictwo ZHP. Po powrocie na Śląsk działacze ci zorganizowali szereg drużyn harcerskich. W czerwcu 1920 roku utworzono przy pomocy harcerskich instruktorów – akademików przybyłych z kilku polskich środowisk uniwersyteckich – Inspektorat Harcerski Górnego Śląska, na którego czele stanął znany później pedagog, Miłosz Sołtys. Inspektorat zorganizował cztery kursy dla kierowników pracy harcerskiej. Nowe środowiska harcerskie rosły jak przysłowiowe grzyby po deszczu i przed samym plebiscytem liczba ta przekroczyła 5000. Łącznie ze Śląskiem Opolskim, gdzie powstało w tymże czasie 26 drużyn harcerskich, zorganizowanych z inicjatywy wybitnego działacza śląskiego Szymona Koszyka, obejmujących w przybliżeniu 500 osób, stan harcerstwa na Śląsku liczył 5500 członków. Z takim stanem można było podjąć skuteczną działalność, która polegała przede wszystkim na budzeniu świadomości narodowej w różnych środowiskach ludności polskiej na Śląsku.

*Przemarsze w zwartych szeregach i z głośnym polskim śpiewem przez wsie i ulice miast, organizacja przedstawień i zabaw polskich, połączonych z prelekcjami na temat plebiscytu, udział w masowych zebraniach polskich, ochrona polskich wieców stale napastowanych przez niemieckie bojówki – oto wkład ówczesnych drużyn harcerskich w akcję polityczną społeczeństwa polskiego, przygotowującego się do plebiscytu*³².

W czasie plebiscytu harcerze sprawowali rodzaj kontroli nad Polakami – czy wszyscy poszli głosować – przewożąc chorych i starych do lokali plebiscytowych, pełnili służby kurierskie, gospodarcze, biurowe. Gdy w sierpniu 1920 roku wybuchło II Powstanie Śląskie, sformowali własne oddziały powstańcze, a w III Powstaniu Śląskim znaczny był ich udział w bitwie pod Łabędami. W obu tych powstaniach wielu harcerzy i harcerek (które pełniły służbę sanitarną) poległo na polu walki³³.

Ogólnie w latach 1914–1921 w różnych formacjach wojskowych i pomocniczych służyło około 9000 harcerzy i harcerek³⁴. Dla oceny tej liczby warto przypomnieć, że gdy 2 listopada 1918 roku na zjeździe w Lublinie powołano ogólnopolski Związek Harcerstwa Polskiego, złożony z Organizacji Harcerzy, Organizacji Harcerek i Przyjaciół Harcerstwa z wszystkich organizacji dzielnicowych, organizacja objęła 24000 harcerzy i 9000 harcerek³⁵.

Połączenie zadokumentowano wówczas przez złożenie przez członków zjazdu u stóp pomnika Unii Lubelskiej wieńca z napisem: „Zjednoczone Harcerstwo – Zjednoczonej Polsce”.

PRZYPISY

¹⁸ Dzieje polskich związków młodzieżowych w pierwszej połowie XIX w. opracował Aleksander Kamiński w 3 ksiązkach: *Prehistoria polskich związków młodzieży*, Warszawa 1959; *Polskie związki młodzieży 1804–1831*, Warszawa 1963; *Polskie związki młodzieży 1831–1848*, Warszawa 1968.

¹⁹ Andrzej Kijowski, *Listopadowy wieczór*, Warszawa 1972, s. 103.

²⁰ Aleksander Kamiński, *Analiza teoretyczna polskich związków młodzieżowych do połowy XIX wieku*, Warszawa 1971, s. 100

²¹ Stefan Kieniewicz, *Powstanie styczniowe*, Warszawa, 1972, s. 78–79

²² E. Kwiatkowski, op. cit., s. 96

²³ Na pytanie, jak to się stało, że wiersz Kozielskiego otrzymał melodię pieśni rewolucyjnej „Na barykady ludu roboczy”, Olga Małkowska odpowiedziała: Tę wspinałą, bojową pieśń śpiewał od r. 1905 cały bez przesady Lwów. Każdy andrus lwowski potrafił ją bezbłędnie odtworzyć. Była bardzo popularna (Bolesław Leonhard, *U autorki hymnu harcerskiego*).

²⁴ Do Legionów wstąpili prawie wszyscy harcerze lwowscy, następnie drużyny krakowskie, kieleckie, częstochowskie, z Będzina i Sosnowca. Skauci z Łodzi wyruszyli w październiku 1914 r. jako pluton skautowy pod wodzą Jerzego Szletyńskiego i mieli swą piękną kartę w walkach legionowych. Zob. cykl artykułów Wacława Lipińskiego w „Wiadomościach Skautowych”, piśmie wydawanym od 1 I 1916 do października 1916 przez Polską Organizację Skautową. O udziale Skautów z Piotrkowa zob. Stefan Rowecki, *Przez zieloną granicę do niepodległości* [w:] „Zarzewie”, 1909–1920, op. cit., s. 330–341.

Z Aleksandrą Szemioth

Prezesem Zarządu Krakowskiego Oddziału Związku Sybiraków

Rozmawia Janusz M. Paluch



Czy o Sybirakach można powiedzieć, że to są Kresowianie?

Zdecydowanie tak. Cały problem eksterminacji Polaków podczas II wojny światowej po agresji sowieckiej 17 września 1939 r. skupił się na ludności zamieszkałej na Kresach – zarówno południowych, środkowych jak i częściowo północnych. Częściowo, bo Wileńszczyzna na początku tych wydarzeń była oddana pod nadzór rozszerzonego państwa litewskiego ze stolicą w Kownie, tzw. Litwie Kowieńskiej. Sowietci i Niemcy oddali im w swej łaskawości Wilno. Ale już w 1941 r. wywozili sowietci także Polaków z Wileńszczyzny. Cała ta ogromna przestrzeń, połowa przedwojennej Polski, była pod okupacją Związku Radzieckiego, który postanowił zlikwidować polskość na tym terenie. Eksterminacja skierowana była głównie przeciwko warstwom najbardziej świadomym narodowo. Chodziło im o inteligencję, ludzi posiadających cokolwiek, czy to byli przemysłowcy, czy obywatele ziemscy, a także wszelkie służby mundurowe – od kolejarzy poczynając, po

przez leśników i młodzieżowe organizacje mundurowe, po osadników wojskowych. Ci ostatni to żołnierze Marszałka Józefa Piłsudskiego, którzy walczyli w 1920 r. w wojnie z bolszewikami, a więc wrogowie numer jeden. Mieli tam gospodarować i stać na straży naszych granic. To oni poszli na pierwszy rzut... Całe rodziny wywiezione zostały 10 lutego 1940 r. w pierwszej, najstraszniejszej, zimowej wywózce. Moja rodzina mieszkała na Wileńszczyźnie, ale jak się okazało, miejsce to znajdowało się zaledwie kilka kilometrów od granicy, która powstała między Białorusią a Litwą. Wśród wywożonych Polaków znaleźli się tzw. *bieżeńcy* – uciekinierzy z centralnej Polski na Kresy przenoszący się wtedy ważne strategicznie przedsiębiorstwa, biura, uciekały też pojedyncze rodziny. W dużej liczbie uciekali też polscy obywatele narodowości żydowskiej. Zdążyli głównie w kierunku Lwowa i okolic oraz granicy z Rumunią. Zamieszkiwali u krewnych lub w wynajętych mieszkaniach. Ale pod okupacją sowiecką nie było im przyjemnie. Wielu na własną rękę przekraczało nielegalnie granicę z Generalną Gubernią. W końcu sowietci ogłosili, że jeśli ktoś chce wracać, powinien się zarejestrować. No to się zapisywali, czekając nocami w kolejkach. Jak już się wszyscy zapisali, podstawiono wagony, wsiedli i pojechali... Ale nie na zachód, tylko na wschód. To była wywózka w czerwcu 1940 r. Wtedy wywieziono 220 tys. osób, głównie w rejon Uralu.

Dlaczego zatem Towarzystwo Sybiraków nie jest zespolone z innymi organizacjami kresowymi? Powiedziałbym nawet, że jesteście zatimizowani, bo każde stowarzyszenie pilnuje i pielęgnuje tylko swoje problemy.

To jest oczywiście. Towarzystwa kresowe zrzeszają dawnych mieszkańców poszczególnych obszarów Kresów z miast i małych miejscowości. Miejsce urodzenia, kraina młodości – miejsca utracone. To jest spójnia, która łączy ludzi w tych stowarzyszeniach. Natomiast zesłania syberyjskie były tak dramatyczną traumą, że jako wyznacznik i łącznik są dla nas znacznie silniejsze niż wspólne sąsiedztwo. Dlatego Sybiracy tworzą odrębną organizację, bo to nie jest tylko kwestia wysiedlenia czy wyrzucenia, lecz całkowite wykorzenie i utrata ukochanych miejsc w dramatycznych warunkach, potem wieloletni pobyt na zesłaniu, w miej-

scach i warunkach, których do niczego nie można porównać. Dramat przeżyć syberyjskich bardziej łączy niż miejsce urodzenia. Do dzisiaj dożyli ludzie, którzy wówczas byli dziećmi, i to małymi dziećmi. Przecież minęło 73 lata od pierwszych deportacji. Ci, którzy jeszcze kołaczą się po świecie, a jest nas mimo wszystko wciąż dużo, to są ludzie, którzy dopiero tam – na Syberii – świadomie zobaczyli świat. Nie na Wileńszczyźnie czy pod Lwowem, tylko tam – na stepach lub w tajdze. W naszym przypadku mamy do czynienia przede wszystkim z kombatanctwem, a w przypadku stowarzyszeń kresowych jest tylko utrata miejsca. Przyzna pan, że jest to zupełnie inna kategoria krzywdy. Choć jedna i druga są niewątpliwą krzywdą, ale ta, która nas dotknęła, jest mocniejsza. Na zesłaniu trwalimy na krawędzi życia i śmierci. To są zupełnie inne wspomnienia, inne wrażenia, inne dramaty.

Czy ta krzywda przykryła u Państwa tęsknotę za rodzinnym domem, miejscem urodzenia...

Nie przykryła. Ona jest piętnem. Została piętnem na całe życie, co nie zmienia faktu, że każdy, kto już był dzieckiem trochę większym, pamięta miejsca rodzinne i wspomina je z wielkim rozrzewnieniem. Zauważa się to we wspomnieniach Sybiraków. Niemal każdy zaczyna od opisu wspaniałego dzieciństwa spędzonego w mieście albo na wsi, gdziekolwiek na Kresach, gdzie było najpiękniej, najwesелей i najserdeczniej na świecie, a potem ta przepaść nędzy, głodu, strachu i wszystkich innych bardzo ciężkich przeżyć. Ta pamięć o miejscach rodzinnych jest ogromnie ważna i bardzo wiele osób spośród Sybiraków identyfikuje się też ze stowarzyszeniami kresowymi. Jednak przeszłość syberyjska jest nadrzędna w pamięci, szalenie wiąże ludzi, jednoczy. Nie są w stanie zrozumieć naszych przeżyć ludzie nawet najbardziej doświadczeni wypędzeniem. Gdy powstawał Związek Sybiraków, zafascynowało mnie to, że ludzie przychodzący, żeby zapisać się do związku, chcieli natychmiast opowiedzieć swój los. Przekrzykując się, opowiadali sobie nawzajem historie życia w malutkim pomieszczeniu. Każdy chciał ten los wykrzyzczeć.

Związek Sybiraków powstał w 1989 roku.

Tak... Właściwie zaczęło się w grudniu 1988 r., kiedy to kilka dzielnych pań

w Warszawie postanowiło stworzyć organizację skupiającą Sybiraków w nawiązaniu do Związku Sybiraków powstałego w 1928 r., założonego przez dawnych zesłańców. Wtedy żyli jeszcze nieliczni już powstańcy styczniowi, byli też zesłańcy tzw. ruchów rewolucyjnych z początków XX w., w końcu żołnierze dawnej V Dywizji Syberyjskiej. Ci ostatni identyfikowali się z tym związkiem, choć nie byli zesłańcami. Związek działał do 1 września 1939 r. Dopiero po 60 latach mogła zostać podjęta próba reaktywacji jego działalności. Z tą jednak różnicą, że w naszym czasie ilość osób doświadczonych zesłaniem na Syberię jest nieporównywalnie większa. W całej Polsce zarejestrowało się około 100 tysięcy osób z przeszłością syberyjską. To ogromna rzesza ludzi, którzy przeżyli Syberię i okres Polski Ludowej. Dopiero w roku 1989 mogli powiedzieć oficjalnie, że tam byli. Przez cały czas trwania PRL nie mogli przyznawać się, że byli zesłańcami na Syberię.

Pani od samego początku była przy powstawaniu Związku Sybiraków w Krakowie.

Prawie od samego początku... Inicjatorami Związku Sybiraków w Krakowie byli Tadeusz Wilczyński i Wiesław Krawczyński, więźniowie sowieckich łagrów, żołnierze Armii Krajowej. Wszystko zaczęło się takim malutkim ogłoszeniem prasowym w „Dzienniku Polskim”. Na ten anons zaczęli przychodzić tłumnie Sybiracy. W krótkim czasie było nas ponad dwa tysiące osób! Potem ta liczba się zmniejszyła, bo powstały oddziały w innych miastach. A przyjeżdżali do Krakowa z całej południowej Polski. Nie sądziłam, że są tu tak liczni. Najwięcej Sybiraków znalazło się na tzw. Ziemiach Odzyskanych, gdyż tam kierowano transporty z Rosji. Sama najpierw trafiłam do Szczecina. Ale tu w Krakowie? Nigdy się tego nie spodziewałam. W krakowskiej siedzibie Związku Inwalidów Wojennych przy Placu Biskupim otrzymaliśmy możliwość korzystania z niewielkiego pomieszczenia. Tam zaczęły się zapisy do Związku. To w tym pookoiku wszyscy chcieli opowiedzieć wszystko o swoich dramatycznych losach – tym, którzy też wiedzieli, czym było zesłanie na Syberię. Wszyscy chcieli rozmawiać i wymieniać się doświadczeniami z innymi zesłańcami. A dlaczego ja się tam znalazłam... Zostałam „zwerbowana” przez panów Wilczyńskiego i Krawczyńskiego. Poczulałam się zobowią-

zana i wyróżniona. W efekcie zgodziłam się kandydować do zarządu, ale pod warunkiem, że zajmę się dokumentowaniem zesłań. Uważałam, że skoro Opatrzność Boża pozwoliła mi wrócić z tej otchłani, to trzeba coś zrobić, żeby losy Sybiraków nie przepadły w pamięci Polaków. Tworzenie Krakowskiego Oddziału trwało krótko, zaledwie około trzech miesięcy, od lutego 1989 r. Powstał zespół założycielski, prowadzono intensywne prace z wielkim zaangażowaniem.

Do związku zapisywały się dwie odmienne kategorie osób: byli więźniowie łagrów sowieckich i byli deportowani do ZSRR. Przygotowania zaowocowały zwołaniem I Walnego Zebrania, na którym wyłoniono Zarząd i tak ukonstytuował się Związek Sybiraków Oddział w Krakowie. Zjazd odbył się 13 maja 1989 r. w auli Wyższej Szkoły Pedagogicznej (obecnie Uniwersytet Pedagogiczny), dzięki pani Zofii Ciesielskiej, pracownikowi naukowemu tej uczelni, która z oddaniem pracowała w zespole założycielskim (deportowana z Drohobycza). Pierwszym prezesem Zarządu został wybrany pan Wiesław Krawczyński, długoletni więzień łagrów – za przynależność do AK we Lwowie. Wspomniany już główny inicjator powstania Związku w Krakowie – pan Tadeusz Wilczyński, też ze Lwowa, był więziony w łagrach, także za AK. Kolejnym prezesem Oddziału został pan Józef Halski – lwowianin i żołnierz AK, w łagrach był od 1944 do 1959 r., brał udział w buncie łagierników. Następnie, przez kolejne trzy kadencje, prezesem był pan Jan Godzicki, z Wilna, za udział w AK więziony w łagrach od 1944 do 1955 r. Po jego śmierci w maju 2011 r., od października tego roku, funkcję Prezesa Oddziału powierzono mnie – też wilniance. Jak widać, kresowe pochodzenie jest wśród sybiraków powszechne i jest mocnym łącznikiem, lecz przeżycia syberyjskie łączą bardziej. Wielu Sybiraków działa również w organizacjach kresowych – np. pani Danuta Trylska-Siekańska jest przewodniczącą Sekcji Kresowian przy Stowarzyszeniu Absolwentów UJ.

Wiele osób nie chce o tych przeżyciach pamiętać i opowiadać. Chcą o tym koszmarze zapomnieć, odsunąć go w niebyt pamięci... Pani postanowiła inaczej. Postanowiła Pani przeżywać to raz jeszcze za siebie i wraz z innymi, którym powierzali Pani swe sybirackie

wspomnienia. Proszę opowiedzieć, jak Pani trafiła na Syberię?

Tak jak wszyscy, według z góry przygotowanych spisów, o czym nikt nie wiedział. Gdy zaczęła się okupacja sowiecka, wydawało się, że cały ten obszar ogarnął straszliwy chaos. Że sowieckie porządki są nieprzewidywalne. A jednak w tym chaosie była metoda. To, co dla nas szykowano, było precyzyjnie przygotowane. Listy wywozowe były przez miesiące sporządzane według kategorii społecznej. Moja rodzina należała do tej niedobrej kategorii *pamieszczikow* – właścicieli ziemskich. W sowieckich warunkach to było najgorsze, co mogło być – krwiopijcy, *poljskie pany!* Wywózka nie mogła nas ominąć. Mój ojciec, Mieczysław Szemioth, oficer 5 Pułku Ułanów w stanie spoczynku, poszedł na wojnę. Mój dużo starszy ode mnie przyrodni brat, Szymon Meyszutowicz, jako świeżo upieczony podchorąży też został zmobilizowany do wojska. Moja mama została z czwórką dzieci sama w dużym domu. Któregoś dnia przyszli sowieci. Park był pełen wojska. To wojsko nie było nawet najgorsze. Dowódcy jeszcze trzymali ich trochę w ryzach. Natomiast groźne było NKWD, które natychmiast dało znać o sobie. Aresztowano moją mamę i nianię, która jako jedyna spośród osób pracujących w naszym domu została z nami. Cztery małe dziewczynki – zostałyśmy same w domu otoczonym przez sowieckie wojsko. Po kilku dniach niania i mamusia wróciły. Potem były nieustanne rewizje, szukanie broni, dopytywania o miejsce pobytu ojca i brata. Rewizje zaowocowały konfiskatą biżuterii mamy i wszelkich cennych przedmiotów. W końcu ewakuowano nas do folwarku odległego o kilka kilometrów. Wtedy przekroczyliśmy dla nas niewiadomą granicę. Mieszkaliśmy bowiem na terenie administrowanym przez państwo litewskie, a przenieśli nas pod administrację sowiecką w republice białoruskiej! Nikt z nas tego nie wiedział! I dlatego wywieziono nas 13 kwietnia 1940 r. Z Litwy by nas wtedy nie wzięli. To wszystko było przemyślane. To nie był przypadek ani chaos.

Jesienią 1939 r. zrobiono tzw. wybory. To była farsa, pod przymusem kazano iść do urn wyborczych i wrzucać kartki. Farsa zaowocowała konkretnymi rezultatami. Wszyscy bowiem zostaliśmy obywatelami Związku Radzieckiego, białoruskiej albo ukraińskiej

republiki, czego wynikiem było wcielenie mężczyzn do Armii Czerwonej. Uważa się, że około 150 tys. Polaków wzięto wówczas do Armii Czerwonej!

O tym problemie niewiele mówiono...

Całe zagadnienie Polaków represjonowanych pod sowiecką okupacją ma bardzo wiele wątków, które zostały zaprzepaszczone w pamięci społecznej przez tzw. przyjaźń polsko-radziecką... A tak naprawdę przez dominację Moskwy nad Polską po wojnie. Dlatego tak mało się o tym wie i tak mało się mówi. Byłam kiedyś w Archiwum Akt Nowych, tam znajdują się kopie materiałów z archiwum londyńskiego pozyskanych przez Amię Andersa, dokumenty powstałe przy II Korpusie. Każdy żołnierz był przepytany, skąd wywieziony, kogo spotykał, gdzie przebywał. Tam należałoby posadzić kilkunastu młodych ludzi, żeby robili kwerendy. Wtedy można by dojść do rzeczywistej liczby deportowanych i aresztowanych. Ciągłe problem ilości represjonowanych jest otwarty i dyskusyjny. Wielu polskich historyków przyjęło za dobrą monetę dane, które przyszły do nas z Moskwy za pośrednictwem Memoriału. To są tzw. spisy przewozowe, spisy ludzi deportowanych w poszczególnych transportach. Według tych spisów wywieziono 316 tys. osób. Natomiast wg polskich źródeł emigracyjnych, znawcy tematu obliczają liczbę deportowanych na co najmniej 850 tys.! Bezkrzytyczne przyjmowanie rosyjskich danych jest wielkim błędem, bo Rosjanie – jak zawsze – dali to, co chcieli dać. To są dokumenty prawdziwe, ale zapewne niepełne. Przecież wróciło nas ok. 400 tys.! Niestety w dokumentach PUR są pomieszane dane, bo tak samo są traktowani ci wracający z zesłania jak ci przemieszczający się z Kresów. Wróćmy jeszcze do tych wyborów... Wszyscy utracili obywatelstwo polskie, wszyscy mieszkańcy Kresów. Zaczęła się fala aresztowań. Do sowieckich więzień trafiło wtedy około 250 tys. mężczyzn. Bez końca szukali też mego ojca i brata. Jeszcze w grudniu 1939 r. na Kremlu podjęto decyzję w kwestii deportacji Polaków. Na tej podstawie pierwsza wywózka, o której już mówiłam, odbyła się 10 lutego 1940 r. Wywożono całe rodziny – mężczyzn, kobiety i dzieci, starych, młodych – wszystkich. Luty, bardzo ostra zima. Ta wywózka była

pierwsza, brak jakiegokolwiek przygotowania. Pełne zaskoczenie. Rozchodziły się plotki, że zabierają dzieci, że rozdzielają rodziny, co było na szczęście nieprawdą. Wywożono Polaków do rejonów o bardzo trudnych warunkach klimatycznych w północnej części europejskiej Rosji, w pobliżu Koła Podbiegunowego – do republiki Komi, Swierdłowska, dorzecza Dźwiny... Następną wywózka nastąpiła 13 kwietnia 1940 r. Wtedy wywożono głównie do Kazachstanu, głównie kobiety z dziećmi. I tam trafiłyśmy z mamusią. Najstarsza z nas, Zofia, miała 14 lat, następne Maria, Ludwika i ja, najmłodsza, miałam zaledwie 4 lata. Dramat mojej matki tak naprawdę dostrzegłam dopiero po latach. Jakie to musiało być dla niej ciężkie i trudne. Jak myśmy to przeżyły?

Nie sądzę, żeby Pani, jako czteroletnia dziewczynka, zapamiętała ten moment, kiedy przyszli i kazali wam opuścić dom...

Pamiętam, bo to były mocne wrażenia. To była noc, łomotanie w drzwi. Potem stali z bagnetami na karabinach, kilku oficerów NKWD kręcących się po domu, i oczywiście miejscowy cywil jako przewodnik, wywodzący się z mniejszości narodowej. Jak wspominają nasi Sybiracy, byli to albo Żydzi, albo Ukraińcy. Żydzi wszędzie witali rosyjskie wojska z radością, to było widoczne, a oni tego nie ukrywali. Paradowali z czerwonymi kokardkami i cieszyli się na przyjęcie wrogów. To bardzo przykre, ale ten akcent we wszystkich wspomnieniach jest wyraźnie podkreślany. Nie byli lojalni w stosunku do swego kraju, do Polski. Pamiętam przerażenie, chaotyczne zbieranie rzeczy, pakowanie, a czasu dali mamie niewiele. Po tym pozostał mi lęk, strach i obawa. To było straszne przeżycie! Mamusia była uprzedzona, bo w przeddzień przyjechał ktoś znajomy, żeby powiedzieć, że coś się dzieje, bo sowioci szykują furmanki. Naszą nianię wysłała pod jakimś pretekstem do jej krewnych. Nie chciała brać odpowiedzialności za jej los. Wywieźli nas do północnego Kazachstanu... Ale przejdźmy do następnego pytania. Ja nie lubię opowiadać o swoich losach. Są przykre. Nigdy ich nie spisałam i tego nie zrobię, bo fala cudzych losów tak mnie dotknęła... Wciąż prosiłam, by ludzie spisywali swe wspomnienia, potem je czytałam i przeżywałam za każdym razem bardzo indywidualnie ich dramaty. A w końcu

ukazywała się książka. Te cudze losy mnie zdominowały...

Jednak chciałbym się dowiedzieć o Pani życiu w Kazachstanie. Chyba że Pani nie pamięta?

Oczywiście pamiętam doskonale. Tego nie da się zapomnieć. To strach, obawa i głód, nieustanny głód. Północny Kazachstan. Step, który nie ma krańca po horyzont. Nie ma lasów, nie ma drzew, wobec tego nie ma opału. A co ważniejsze, nie ma budulca. Może mniej trudne tam było życie niż w tajdze, bo to jednak były tereny uprawne, czarnoziem, ale bardzo krótki okres wegetacyjny, więc nie było to nadzwyczajne rolnictwo, niemniej była żywność, lecz dostęp do niej był bardzo ograniczony. Zawsze było za mało jedzenia. Tam, gdzie nam kazali mieszkać, to był punkt na stepie bez nazwy. Wyszadzono nas na malej stacji między Pietropawłowskiem a Omskiem na trasie transsyberyjskiej. Potem ciężarówkami wieziono w bezdrożny step. Wyszadzono nas obok dość nowej osady bez tradycji. Były tam także wsie-kołchozy, które miały skonsolidowaną społeczność i jakąś tradycję. Mieszkańcy takich wsi wywodzili się z osadników z Ukrainy jeszcze z czasów carycy Katarzyny. A my trafiliśmy na trzeci oddział ogromnego sowchozu. Miejsce niezagospodarowane pod żadnym względem. Mieszkaliśmy, chyba 20 rodzin z Polski, w ogromnym baraku z przewiewnymi ścianami wykonanymi z plecionki z łozy. Zbliżała się zima. A tam zmiany pór roku następują bardzo szybko. Sowchoz dał trochę drewna i wyznaczył miejsce, gdzie Polacy mogli sobie wybudować *ziemlanki*. Głównym budulcem była darni, czyli ziemia przerośnięta korzeniami roślin. W miejscach gdzie nie orano stepu, darni była bardzo gruba. Wycinano bloki ziemi i budowano z niej mur, tak jak z cegieł. W środku klepisko, a drzewo z sowchozu służyło jako główna belka, kilka żerdzi przeznaczono na krokwie, trochę jakichś gałęzi i pokrycie dachu też z tej darni, sufitu nie było. Wszystko więc bardzo prymitywne. Z tym, że tamtejsi ludzie wkopywali *ziemlanki* w ziemię. U nas powstały prawie domy, nad ziemią. I to z inspiracji mojej mamy. Mamusia całe życie cierpiała na astmę, miała lęk przed zamkniętymi przestrzeniami. Optowała za tym, żeby wybudować



A. Szemiłtoń podczas dyskusji

domy, a nie wkopaną w ziemię dziurę. To było trudne przedsięwzięcie. W rodzinach, gdzie byli mężczyźni, sami dawali radę. Ciężką pracę i murowali domy sami. U nas nie było takiej siły roboczej i mamusia musiała za jakieś swoje ubrania wynająć człowieka. Stał w końcu dom, znalazło się jeszcze drewno na okna i szyby, co w tamtych warunkach było wielkim luksusem i wydarzeniem. Nie było to ciepłe mieszkanie, zawsze na ścianach wewnątrz był szron. Jedna chata-ziemlanka, podzielona ścianą poprzeczną, służyła dwom rodzinom.

Gdzie pracowała mama? Czym zajmowali się tam ludzie?

Mama i moje dwie starsze siostry, ta już 15-letnia i 13-letnia, musiały pójść do pracy. Te dziewczynki wprost z pokoju dzieciennego, nagle znalazły się na stepach i musiały iść do dramatycznie ciężkiej pracy. Kazano im stać na wielkiej bronie ciągnionej przez duży gąsienicowy ciągnik i z patykami w rękach musiały oczyszczać zęby brony z trawy. Pracowały na nocnych zmianach. Po niedługim czasie musiała też ciężko pracować trzecia z moich starszych siostr, Ludwika. Mamusia też pracowała, a że miała wątłe zdrowie, zaczęła więc chorować. Zajmowała się pojeniem bydła, przerzucała suszące się ziarno szuflą, aby nie zaplesniało. Przy jej astmie było to bardzo ciężkie. A ja byłam mała... Wiosną, kiedy już zupełnie nic nie było do jedzenia, chodziło się na zbieranie kłosów, jak już tajały śniegi. Na późną jesień koczonych polach pszenicznych zawsze zostawało dużo kłosów. Zbieraliśmy te kłosa. To było zabronione, ale był taki głód, że już nikt na te zakazy nie zwracał uwagi. Kto mógł, szedł i zbierał, żeby ratować siebie i swoją rodzinę przed śmiercią głodową. Ja chodzi-

łam z mamą. Było daleko, mokro i zimno. Ziemia pomału miękła, ale zmarznięty śnieg kaleczył ręce. Spod tego śniegu wydobywało się kłosa. Byłam zmarznięta, głodna i bardzo nieszczęśliwa, a moja mama – nadzwyczajna osoba – w trakcie tej trudnej pracy opowiadała mi książki dla dzieci, opowieści biblijne. Cała moja wiedza na temat lektur dla dzieci i młodzieży pochodzi z tamtych czasów. Później próbowałam czytać te książki, ale były dużo mniej ciekawe niż opowieści mojej mamy. Kłosa w domu długo suszyłyśmy, potem wykruszałyśmy z nich ziarna. Ziarno jeszcze musiało się suszyć. Potem trzeba było czekać w kolejce do żaren. W całej osadzie były dwa komplety żaren. Normalne żarna są z kamienia, a tam nie było kamienia. Żarna były zrobione z dwóch kawałków pnia drzewa. Na powierzchni ściernej w drzewo wbite były kawałki żeliwa. To mielenie było bardzo trudne, a poza tym dawało marny efekt. Z takich żaren wychodziła nie mąka, tylko kasza. Niemniej można to było jakoś ugotować i zjeść.

Jak wyglądał Wasz powrót do Polski?

Byliśmy tam całe sześć lat. W momencie, kiedy podpisano układ Sikorski-Majski, ogłoszono amnestię i powstawało Wojsko Polskie pod dowództwem gen. Władysława Andersa, był moment, kiedy można było się ruszyć w straszną podróż na południe, żeby dołączyć do oddziałów polskich. Kto mógł, starał się tam dotrzeć, zwłaszcza jeśli to były rodziny wojskowych. Byliśmy taką rodziną. Mój brat, jako podchorąży, dostał się do sowieckiej niewoli i trafił do obozu w Starobielsku. W armii sowieckiej nie ma podchorążych i oni nie wiedzieli, czy podchorąży to już oficer czy jeszcze szeregowy. W pewnym momencie w Starobielsku wyselekcjonowali podchorążych i gdzieś ich wieziono. Bratu udało się wtedy uciec. Dotarł do Wilna, dowiedział się, że nas wywieziono. Zajął się przeprowadzaniem znajomych Polaków przez zieloną granicę z państwa litewskiego do Generalnej Guberni. Wpadł w pułapkę, zamknęli go w więzieniu w Grodnie, a potem zesłali do łagru w Komi. Stamtąd dotarł do oddziałów Andersa i szybkim transportem dla marynarzy i lotników dojechał do Anglii. Służył w lotniczych dywizjonach w Wielkiej Brytanii. Po przeszkoleniu latał na myśliwcach, a po wojnie osiadł w Australii.

Mama napisała list do ambasady polskiej w Kujbyszewie. Odpowiedź przyszła z Pietropawłowska od przedstawiciela naszej ambasady z informacją, jak bardzo trudno jest cywilom, którzy dotarli do Armii Andersa, że umierają tam z głodu i tyfusu, i radą, aby lepiej się nie ruszać z miejsca. Mama miała wtedy też kontakt z Ksawerym Pruszyńskim, który był w Kujbyszewie i pisał do ukazujących się po polsku gazet. Była z nim spowinowacana, więc kiedy zobaczyła jego artykuł w polskojęzycznej prasie, natychmiast do niego napisała. To bardzo dziwne, że w tych ogromnych przestrzeniach jednak jakieś kontakty można było nawiązać. Ksawery potwierdził informację, jakie mama dostała z Pietropawłowska. W rezultacie zostaliśmy i w sowchozie byliśmy przez całe sześć lat! Żyliśmy ciąglą nadzieją na powrót. Gdyby nie ta nadzieja, to nie wiem, czy wytrzymałybyśmy to wszystko psychicznie. Czepialiśmy się wszelkich pogłosek, że już, już będziemy mogli wrócić do siebie... W końcu wojna się skończyła, a myśmy dalej tam trwały. W 1946 r., też 13 kwietnia, wyruszyliśmy z naszej osady. W międzyczasie, w 1943 r., moja najstarsza siostra, która skończyła już 18 lat, odmówiła przyjęcia obywatelstwa sowieckiego, za co skazana została na dwa lata łagru. Z tysiącem innych Polek była w łagrach za Bajkałem. Pracowała w brygadzie, która ścinała olbrzymie cedry na stromych stokach tamtejszych gór. Straszna praca, szczególnie dla takich młodych dziewcząt. Wytrzymała wszystko, mimo że ciężko chorowała na tyfus. Wróciła do nas po dwóch latach. Do innej Polski, już nie do własnego domu, wracaliśmy w komplecie, razem. Zawieźli nas do Szczecina. Dzięki pomocy Polskiego Urzędu Repatriacyjnego (PUR) dowiedzialiśmy się, że nasz ojciec jest w Lidzbarku Warmińskim. Wojnę przetrwał w oflagu na Litwie, skąd uciekał, był kilkakrotnie aresztowany. W 1945 r. znalazł się w fali uchodźców i zamieszkał w tym Lidzbarku. Przenieśliśmy się tam, a potem dzięki rodzinie znaleźliśmy się w Krakowie. PUR to była doskonale działająca instytucja na ten czas wędrowni ludów! Polska była przesunięta w granicach, zniszczona wojną. Przecież setki tysięcy ludzi przemieszczało się z Kresów, poszukiwało rodzin, które wojna wymiotła nie wiadomo dokąd, a do tego przybywały z Syberii setki tysięcy zesłańców,

wygłodzonych, schorowanych, pozbawionych domów i jakiegokolwiek dobytku. Byliśmy jednak pełni radości, choć z pustymi rękami. Wtedy w kraju dla wszystkich udało się znaleźć miejsce, choć było to trudne. A teraz nie można sprowadzić do Ojczyzny tych Polaków, którzy tam jeszcze pozostali. To jest sprawa, która mnie oburza! Niby wolna Polska, a nie może się zdobyć na tak oczywisty gest!

Kiedy wróciła Pani do Polski, przeżyła Pani kolejny cywilizacyjny przeskok.

Miałam wtedy 10 lat. W takich ekstremalnych warunkach, przez jakie przeszłam, szybciej się dojrzewa. Obecne 10-latki to dzieci nic niewiedzące o życiu. Czułam się wtedy już dość dorosła, ale powrót do cywilizacji był dla mnie bardzo mocną rzeczą. Pamiętam zrujnowany Szczecin, spotkanie z ojcem, którego nie poznałam, zrujnowaną Warszawę. Mama prowadziła mnie do katedry św. Jana, która była przecież całkowicie niszczone. Prawie nienaruszona została tylko kaplica z cudownym krucyfiksem z ukrzyżowanym Panem Jezusem. Ludzie wędrowali wydeptanymi ścieżkami przez zrujnowaną Warszawę, żeby tam, przed tym krzyżem się modlić. No i Kraków w roku 1946, nietknięty wojną, piękny, bogaty, z zabobnymi jeszcze sklepami. Inny świat! Nie potrafiłam tego ogarnąć. Ktoś nierozważny zaprowadził mnie to Teatru im. Juliusza Słowackiego na *Sen nocy letniej*. Sam gmach wspaniały, piękna scenografia, zapierająca dech w piersiach kurtyna Henryka Siemiradzkiego. Tyle emocji, myślałam, że nie udźwignę wrażeń! Nie wolno było tego robić dziecku wychowanemu na stepie!

Ale to dziecko poszło do szkoły i musiało uważać, żeby się nie przyznać do swej sybi-rackiej przeszłości...

Do 1948 r. nie było jeszcze tak źle. Przyjechałyśmy mało świadome zmian, jakie nastąpiły w Polsce. Wtedy te sprawy się nie liczyły, dominowała radość z powrotu. Potem były wybory „trzy razy tak”. Rodzice poważnie zastanawiali się, jak do tego podejść. Jeszcze nie zdawali sobie sprawy z tego, że to wszystko fikcja. Pęta się zaciesniała. Pomału wszystko stawało się inne. Cóż, ja wciąż byłam dzieckiem i nie byłam jeszcze w stanie tego dostrzegać i oceniać. Byliśmy na cen-

zurowanym jako przedstawiciele niszczonej warstwy, posiadaczy ziemskich. I chociaż nie mieliśmy przecież już nic, to cały czas byliśmy nie tacy jak trzeba. Byłam w kilku szkołach podstawowych, potem skończyłam liceum żeńskie im. Józefy na Podwalu w Krakowie. Byłam jedyna w klasie, która się nie zapisała do ZMP. Pocziwe nauczycielki na korytarzu szeptem mówiły mi, żebym się zapisała, bo się nie dostanę na studia. A ja mówiłam, że nie chcę, bo wiem, co to jest, widziałam to w Kazachstanie. Czułam się dziwnie w otoczeniu dziewcząt z krakowskich rodzin, które nie były tak wyraziście dotknięte wojną. Wydawały mi się niesłychanie dziecinne. Inne niż ja. Nie kryłam się ze swoimi przeżyciami, ale to była dla nich abstrakcja. One przeżywały przykrość niemieckiej okupacji i opowiadały, jak było bardzo ciężko, bo nie było deseru na obiad. Skończyłam studia, geologię na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, choć moją pasją zawsze była i jest historia sztuki. W pracy były podchody, żeby mnie do partii wpisać. Wtedy też mówiłam, że byłam na Syberii i wiem, na czym to polega, więc więcej mnie nie namawiali. I udało się przejść z podniesioną głową przez lata PRL-u, pracować w „Solidarności” i doczekać Związku Sybiraków!

Przejdźmy zatem do najważniejszego dzieła Pani i Komisji Historycznej krakowskiego Związku Sybiraków. To 14 tomów wspomnień wydanych w serii *Sybiracy. Tak było*.

Podczas większych spotkań namawiałam publicznie, że kto może, niech pisuje swoje wspomnienia, że powinno się zostawić ślad po naszej katordze. W końcu zaczęli pisać. Rękopisy trafiały do naszej Komisji Historycznej. W pewnym momencie uznałam, że skoro tych materiałów jest już tak dużo, to trzeba je uwolnić z zamkniętej szafy. Próbowalam zainteresować tymi materiałami różne wydawnictwa, bez efektu. O zesłańcach carskich powstawały tomy literatury, obrazy słynnych artystów, publikowano ich wspomnienia. Nasze zesłanie pozostało w niepamięci. Brakowało chętnego wydawcy – na naszym zesłaniu nie da się zarobić... W takiej sytuacji postanowiliśmy zrobić to sami, bez pieniędzy. Pojechałam do Warszawy do pana Andrzeja Przewoźnika, przewodniczącego Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Udało się go przekonać i otrzymaliśmy co roku

niedużą kwotę na druk i papier. Wydawaliśmy po jednej, najwyżej dwie książki w roku. Przepisywanie, redagowanie tekstu, opatrywanie go przypisami, to była nasza praca. Wydaliśmy 14 tomów w serii *Tak było. Sybiracy*, ze wspomnieniami ok. 55 autorów. To nie jest literatura wielkiej klasy, aczkolwiek z wielkim pietyzmem podchodziliśmy do tych tekstów, bo chodzi o rzetelność przekazu. Tam nie ma fantazji, są prawdziwe opisy realnych spraw. Wydaliśmy też dwa tomy materiałów źródłowych, w których zaprezentowaliśmy zasoby naszego archiwum, i osobno zbiór listów. Oprócz tego wydaliśmy też książkę opowiadającą o Sybirakach carskich w Krakowie. To zbiór biogramów osób, które po zesłaniu za udział w Powstaniu Styczniowym osiadły w Krakowie. Ten tom opracował członek Komisji Historycznej, nieżyjący już Antoni Ratyński.

Czy praca komisji trwa nadal?

Wydawniczo chyba na tym się skończyło. Brakuje nam siły. Nie ma też pana Andrzeja Przewoźnika. Mam nadzieję, że to, co jeszcze mamy do wydania, zostanie kiedyś przejęte przez kogoś i z pożytkiem wykorzystane. Praca Komisji Historycznej, do której też należę, trwa od 1989 r. – to już 24 lata! Zespół Komisji to wspaniałe osoby, które poświęcają tej pracy swój czas, energię i umiejętności. A te osoby to Teodor Gąsiorowski, Anna Gęgotek, Stela Goldgart, Małgorzata Kaplita, Anna Semkowicz, Bożena Stojanowska-Rajchman, Leopold Walczewski, Agnieszka Winiarska, Zofia Zemla i Janusz Żuławski. Z naszego zespołu odeszli już Helena Szczerbińska, Janina Kisiel i Antoni Ratyński.

Zatem co dalej?

W tej chwili powstaje duże muzeum sybirackie w Białymstoku przy Muzeum Wojska Polskiego. Zwrócili się do nas z prośbą o przekazanie naszych zbiorów archiwalnych. Wolałabym, aby zostały w Krakowie i służyły pracom badawczym i dydaktycznym krakowskich uczelni. W oparciu o nasze materiały powstało już sześć prac magisterskich i kilka doktorskich. Przychodzą też uczniowie szkół średnich i zbierają materiały do różnych konkursów. Poza tym w Krakowie powstała nowa instytucja: Centrum Dokumentacji Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń przy Uniwersytecie Pedagogicznym im. Komisji Edukacji

Narodowej. Dostali siedzibę w forcie w Skotnikach, trochę na uboczu. Pracują tam młodzi historycy. Czy ich zapal zdoła ogarnąć tak szeroki tematycznie zakres badań? To jest ogromna przestrzeń! Np. wysiedlenie całej Gdyni przez Niemców i innych miast, wysiedlenie wszystkich mieszkańców Kresów, czy to udokumentują? Życzę im jak najlepiej. Na razie zajęli się ciekawą sprawą o dalekim zasięgu. Jeżdżą po różnych miejscach świata i odszukują ludzi, których Anders uratował jako dzieci w 1942 r. Wywiózł ich na Bliski Wschód, a potem rozpierchli się po całym świecie. To jest bardzo dobre działanie, bo tym Polakom, wiecznym emigrantom to się należy. Byli na zesłaniu tylko dwa lata, potem odżyli jako ludzie, ale utracili kontakt z krajem na zawsze. To też było dla nich ciężkie doświadczenie. Te kontakty są teraz ich wielką radością. Przekazują swoje pamiętki, mówią o swoim losie. Ale to jest tylko fragment problemu. Być może Centrum to będzie miejsce docelowe dla naszego archiwum, ale jeszcze musimy poczekać, zobaczyć, w jakim kierunku ich prace badawcze pójdą. Bardzo się cieszę, że młodzi ludzie zajęli się tą trudną problematyką.

Serdecznie dziękuję Pani za rozmowę.

dokończenie przypisów ze s. 28

²⁵ Tytuły najpopularniejszych „podręczników” skautowych: *Karabin Mannlicher* – Lewakowskiego, *Podręcznik dla pierwszych patroli wywiadowczych* – Stefczyka i Żarskiego, *Jak czytać austriackie mapy wojskowe* – Libińskiego.

²⁶ Mianowicie drużynowi: Stanisław Rewoliński, Wacław Zawadzki, Piotr Olewiński, Jerzy i Ignacy Wądołkowscy, Tadeusz Kowalski, Adam Rudnicki, Eugeniusz Olejniczakowski.

²⁷ Wyraziło się to w szeregu zakazów i ograniczeń, mających na celu przeciwstawienie się polityce „Zarzewia”, m.in. wydano zakaz noszenia mundurów strzeleckich, zaczęto stosować sankcje karne w stosunku do opornych; w konsekwencji 11 instruktorów-zarzewiaków wystąpiło z skautingu i zainicjowało pracę skautową przy Polskich Drużynach Strzeleckich. J. Gaj, op. cit.

²⁸ Po zawarciu przez Niemców odrębnego traktatu z Ukrainą (9.02.1918 w Brześciu Litewskim), mocą którego oddawano utworzonemu państwu ukraińskiemu ziemię chełmską, skauci poznańscy rozlepiłi na ulicach plakaty prote- ▶

- ▶ stujące przeciwko aktowi brzeskiemu. Niemcy natychmiast przeprowadzili aresztowania, 14 skautów skazano na więzienie, a wkrótce potem, 14.05.1918 r., władze niemieckie oficjalnie rozwiązały skauting na terenie Wielkopolski.
- ²⁹ Najbardziej aktywnym działaczem endeckim wśród członków Naczelnej Komendy Skautowej był ks. Kazimierz Lutosławski. On to właśnie na początku wojny, starając się opanować akcję drużynowych i członków drużyn na rzecz Legionów bądź POW, wygłosił odczyt, w którym negował sens i celowość powstań narodowych 1831 i 1863. Odczyt ten został przerwany – publiczność, wśród której było wielu skautów, zareagowała w sposób jednoznaczny. Wystąpienie Lutosławskiego, mimo iż w 1915 r. Naczelna Komenda Skautowa zgodziła się na usunięcie jego ze swego składu, świadczyło o głębokim rozłamie w skautingu, którego konsekwencją było utworzenie w r. 1915 na terenie Piotrkowa Polskiej Organizacji Skautowej. Ta ostatnia, mimo ostrych zarzutów ze strony działaczy narodowo-demokratycznych, a także niechęci części społeczeństwa, rozwijała się b. szybko, osiągając w styczniu 1916 r. stan ok. 2500 ludzi. (J. Gaj, op. cit., s. 49–52). W ten sposób zwyciężyła idea niepodległościowej młodzieży zarzewiackiej, która ruch skautowy chciała związać niezmiennie z walką orężną o niepodległość Polski. Bowiem Polska Organizacja Skautowa jak najściślej współpracowała z Legionami i POW.
- ³⁰ W. Błażejewski, op. cit., s. 60. Metalowa lilijka, o surowych formach, była bardzo skromna, natomiast krzyż wzorowany jest na rysunku na krzyżu *Virtuti Militari*. Projekt odznaki skautowej w formie krzyża powstał w wyniku konkursu zainicjowanego przez redakcję lwowskiego „Skauta”. Autorem projektu był ks. Kazimierz Lutosławski. W. Błażejewski, *Pierwsze kroki...*, s. 128
- ³¹ Odpowiadał temu wzrost liczby organizacji w Warszawie, która 1.03.1917 r. przedstawiała się następująco: 2000 harcerzy w 27 drużynach i 1000 harceerek w 22 drużynach. W. Błażejewski, *Historia...*, s. 65.
- ³² H. Kapiszewski, *Związek Harcerstwa Polskiego w Niemczech. Zarys historyczny ze szczególnym uwzględnieniem lat 1933–1939*, Warszawa 1969, s. 41
- ³³ Tamże, s. 42, Szczegóły zob.: J. Grzbiela, *Udział harcerstwa w plebiscycie i w powstaniach. „Powstanie Śląskie”*, Katowice 1963.
- ³⁴ Podaję za W. Błażejewskim, *Historia...*, s. 106.
- ³⁵ Tamże. Przekazanie harcerstwa warszawskiego władzom ZHP nastąpiło faktycznie dopiero na przełomie 1920 i 1921 r. Wtedy też Okręg Stołeczny przekształcony został w Chorągiew Warszawską. Jan Rossman, *Z dziejów Warszawskiej Chorągwi Harcerzy w latach 1921–1939*, maszynopis, s. 2. CL 74.

Remigiusz Węgrzynowicz

KILKA OKRUCHÓW JEDNEGO ŻYCIA

Garść prezentowanych „okruchów życia” nie tworzy pełnego obrazu biograficznego, jest tytko fragmentarycznym ujęciem zdarzeń, charakterystyką środowiska – ludzi, z którymi przypało mi uczestniczyć na drodze życia.

Krytyczne spojrzenie na miniony okres z perspektywy czasu dostarcza odczucia w jego etapach: beztroška, radość okresu chłopięcego, kształtowanie poglądów i plany przyszłości w wieku młodzieńczym, brutalność wojny, zachwianie ideałów, wiek dojrzały, odkrywanie wartości, blaski i cienie pracy naukowej i nauczyciela akademickiego, poszukiwanie miejsca wobec przymusowego życia w „jedynym sprawiedliwym ustroju”.

„Saga rodu” w przyjaznym kresowym środowisku, „dobry duch” i geny przodków kształtowały moją osobowość. Kreśliły moją drogę życia. Rodowód naszej rodziny (jak tysięcy rodaków) jest polski – kresowy. Zachowane dokumenty świadczą o tym, że korzenie rodzinne sięgają czasów Łokietka. Antenaci, jak wielu wówczas, wojowali i zdobywali dobra i nobilitacje szlacheckie. Zmienne były losy mieszkańców ziem kresowych, odczuwalne również dla mojej rodziny, która rozpoczynała nową egzystencję po stratach posiadłości.

Spooglądałam na portrecik pradziadka po kądzieli i świadectwa ekskluzywnej szkoły Teresianum, Narcyza Lubicz Pajęczkowskiego – radcy Namiestnictwa CK Austrii we Lwowie. W pamięci rodziny pozostał autorytetem nośnika świadomości tożsamości narodowej w okresie zaborów. Jego znanej działalności zawdzięczam stypendium szlacheckie, otrzymywane w latach trzydziestych, pokrywające roczną opłatę gimnazjum. Z mieszanymi uczuciami wspominam dzied-



Narcyza Pajęczkowska

Wspamięnienie



Leon Węgrzynowicz

ka Leona Rawicz Węgrzynowicza, który „zdążył” – przed wczesną śmiercią – przegrać w karty cały majątek. Pozostawił żonę Józefę z Pajączkowskich z synem Stanisławem (moim ojcem) w trudnej sytuacji materialnej. Ojciec ze względów materialnych nie ukończył studiów na Akademii Sztuk Pięknych. Obraz szopki krakowskiej namalowany przez Ojca, ofiarowany księciu abp. Sapieże,

pozwoił na identyfikację personalną Ojca podejrzanego o szpiegostwo przy przekraczaniu granicy austriackiej w 1915 r. Pracował na stanowisku adiunkta w dyrekcji PKP. Był wspaniałym pedagogiem, przez wiele lat opiekunem społecznym. Walczył w Obronie Lwowa w 1918 r. Matka Maria z d. Kopko w okresie zaborów aktywnie uczestniczyła w działalności Komitetu Narodowego.

Brat Artur (inż. architekt) w czasie okupacji ratował życie wielu potrzebującym, podrabiał malując ręcznie pieczęcie na dokumentach, był jednym ze zdobywców gmachu „Pasty” w Powstaniu Warszawskim. Jego historyczne zdjęcie z miotaczem ognia prezentowane jest w TVP każdego roku w czołówce programów rocznicowych. Opuścił kraj w roku 1950, wybierając wolność. Przez 30 lat pracował w USA.

Moja najbliższa towarzyszką życia, Sabina (mgr filologii angielskiej, wieloletni st. wykładowca AR), dzieli ze mną radości i troski od 58 lat; opiekuje się okolicznymi kotami i ptakami. Córki – Donata Sauerborn (lekarz stomatolog) w roku 1980 opuściła kraj, wybierając wolność. Prowadziła prywatną praktykę w Gelsenkirchen, Rzymie, a od ośmiu lat – na Wyspach Kanaryjskich, na Teneryfie; Iza Ewa Piekarska (mgr, absolwentka AR) prowadziła z mężem Andrzejem zakład produkcji

leków u jego wuja – znanego mikrobiologa prof. Brzoski. Wnuk Michał Piekarski jest muzykologiem i organistą, miłoścą do Lwowa i Wilna „wyszał z mlekiem” prababki, zgłębia historię muzyki sakralnej Lwowa. Najbliżsi byli



Rodzina Autora

enklawą prywatności oddzieloną od życia zawodowego.

Spojrzenie retrospektywne nie daje satysfakcji, jakiej oczekiwałem u progu działalności zawodowej. Przemiany społeczne i polityczne po wojnie, degradacja idei, zażąd, że „nie o taką ojczyznę walczyliśmy!”, były przyczyną koniecznych kompromisów i rezygnacji z wielu planów i zamierzeń. Pół wieku „radosnej twórczości” nie dla wszystkich jednakowo było łaskawe. Praktyka w terenie, wojsko, dwie różniące się poziomem uczelnie, pozwalały mi ocenić głębokość przemian. Niedosyt, jaki odczuwałem wymuszoną koniecznością podejmowania wielokierunkowych badań naukowych (w ramach współpracy międzyuczelnianej), po przeniesieniu z Wrocławia do Szczecina, wynikał głównie z niemożliwości rozwijania myśli badawczej w bardzo skromnie wyposażonych pracowniach w nowo zorganizowanym wydziale. Niestety, wyobraźnia polityczna niektórych niedouczonej specjalistów decydowała o potrzebach rozwijającego się kierunku. Brak pracowni nad morzem i odpowiedniej jednostki pływającej na Wydziale Rybactwa Morskiego AR (!) – tak jak jest we wszystkich tego typu uczelniach na świecie; porównać można to do badań i dydaktyki na uczelni medycznej, która nie posiadałaby kliniki i dostępu do łóżka chorego.

Ośrodki naukowe i dydaktyczne w kraju, z bogatą tradycją i wykształconą przed wojną kadrą naukową, posiadały głębokie korzenie, co pozwalało na szybkie odrodzenie po zniszczeniach wojennych. Znaczną rolę w procesie rewitalizacji nauki i szkolnictwa odegrała wybitna kadra naukowa ekspatriowana z kresów wschodnich, która na gruzach uczelni poniemieckich rozwijała ośrodki naukowe i dydaktyczne. Zasilała również ocalałe po wojnie uczelnie w całym kraju. Niestety, fasadowość i „radosna twórczość” sprzyjały tworzeniu nowych ośrodków bez odpowiedniego wyposażenia, a także wykształconej kadry naukowej. Ubytki biologiczne oraz zahamowanie naturalnego rozwoju młodej kadry spowodowały poważne szkody w rozwoju nauki polskiej: zniesienie doktoratów i wprowadzenie „kandydata nauk”, z obowiązkiem składania egzaminu politycznego (w Warszawie) było hamulcem

i selekcją ideologiczną. Masowe nominacje „docentów” (bez habilitacji) i „zastępców profesora” były drogą awansu dla wielu „miernych, ale wiernych”, analogicznie jak zasada stosowana w wojsku: „nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z Ciebie oficera”. Powrót do doktoratów i habilitacji, z braku kadr, zliberalizował procedury w wielu słabych naukowo ośrodkach, ale silniejszych ideologicznie. Jako kuriozum trudno zapomnieć uczestnictwo w kolokwium habilitacyjnym, na którym habilitant nie potrafił nauczyć się na pamięć odpowiedzi na (najprawdopodobniej przewidziane) pytania. Rozłożył zeszyt i jak w szkole podstawowej odczytywał przygotowane odpowiedzi. Zaskoczony niecodzienną sytuacją, wobec aprofaty pozostałych członków Rady Wydziału, nie potrafiłem odpowiednio zareagować. Reakcja „przybysza” w znającym się środowisku nie miałaby szans na zmianę przebiegu procedury. Często wydawane opinie, dając podstawę awansu, brzmiały: *wprawdzie dorobek naukowy nie jest znaczący, ale praca społeczna i polityczna...* Niestety, efekty tego były widoczne. Trudno zapomnieć (w czasie mojej kadencji rektorskiej) chwile żenujące wobec szacownego audytorium, kiedy profesor-promotor, wręczając dyplom doktora, kaleczył niemiłosiernie, czytając z kartki, kilka wersetów po łacinie, których wypadło nauczyć się przynajmniej poprawnie przeczytać. Zdarzenia takie nie wymagały komentarzy i były świadectwem drogi awansu. Rozdział środków na badania i wyposażenie pracowni, wyjazdy do ośrodków zagranicznych, jak również droga do nominacji była w rękach wąskiej grupy „ideologicznej”. Moja droga awansu (prof. nadzwyczajnego i zwyczajnego) – mimo spełnienia wymaganych warunków (działalności naukowej i kształcenia kadr) – trwała w sumie dziesięć lat. Nie byłem wyjątkiem. Kiedy w pierwszych wolnych wyborach zostałem rektorem (otrzymałem ok. 70% głosów spośród 4 kandydatów), wielu oczekiwało zmian odwetowych za miniony okres. Rozczarowałem wielu, przestrzegając zasady równego traktowania wszystkich (również w sprawach awansów), zachęcając do stałej dyskusji otwartej w sprawach uczelni (na łamach Biuletynu). Niestety, „homo sovieticus” tkwił głęboko w mentalności wielu. Brak zaufania do ujawniania otwartej konstruktywnej myśli

był hamulcem w uczestnictwie w rozwoju uczelni na zasadach demokratycznych. Proces dojrzewania społecznego wymaga czasu. Im szybciej uwolnimy się z balastu skażonej ideologią przeszłości, zachowując to, co było w niej ludzkie, wartościowe, tym szybciej uczelnie wyjdą z letargu przeszłości.

Refleksje

Rok 2007 – Szczecin, okazały gmach Urzędu Miejskiego z widokiem na Jasne Błonia, rozległe pole zieleni otoczone wspinałą aleją platanową. Pośrodku trawnika – pomnik Jana Pawła II, wspierającego się na pastorałce; w dalszej perspektywie pomnik „Trzech Orłów”, symbolizujących trzy pokolenia, które przez 60 lat rewitalizowały na gruzach powojennych życie społeczne, gospodarcze kulturalne i polityczne „na tej ziemi” obecnych kresów zachodnich RP.

Losy ziemi szczecińskiej, obecnie „kresów zachodnich”, przez wieki były zmienne podobnie jak „kresów wschodnich” dawnej RP. Po drugiej wojnie światowej zasiedlone przez Polaków przybyłych z różnych dzielnic kraju. Znaczący udział w tej nowej historii przypadł ekspatriantom ze wschodu, którzy wnieśli bogaty kapitał intelektualny i wielowiekową tradycję narodową.

W tej urokliwej scenerii, miejskiej zieleni, przesyconej zapachem kwiatów i świeżo skoszonej trawy, spoglądałam na gonitwę chmur pierzastych pędzonych wiosennym wiatrem. Przypominają, że ruch jest objawem życia bezkresnej przestrzeni kosmosu, którego integralną częścią jest nasza ziemia, poruszająca się po



Kościół Bernardynów i Plac Mariacki
we Lwowie



wyznaczonej orbicie. Ziemia ta dała życie i równe prawa wszystkim istotom. Podstawowym prawem egzystencji jest wolny wybór miejsca zamieszkania. Moja obecność tutaj to „wybór” przymusowy – ekspatriacja. Prawa ludzkie zmieniły prawa przyrody...

W pobliżu „mojej” ławki zgraja wróbli, gołębi, srok, gawronów częstuje się okruchami świątecznej babki. Gwar, jakim napęniają ciszę poranną, nadaje specyficzny klimat wolności – głęboki sens istnienia.

Radośni skrzydlaci przyjaciele są wolni. Dla nich ludzkie prawa i granice nie istnieją. Niestety, człowiek XXI w. tylko w myślach jest wolny. Ulegam urokom wspomnień, przekraczam myślami granice, które dzielą nas od ziemi ojczystej – Kresów Wschodnich – Lwowa. Nieustannie przekraczamy mityczną przestrzeń tamtego świata i zawsze będziemy obywatelami tamtej czasoprzestrzeni. Nostalgiczna pamięć nasza obciążona jest kresowymi obrazami naszej młodości. Przenoszę się do lat trzydziestych XX stulecia.

Lwów – Wały Hetmańskie, szeroka, zielona aleja pomiędzy ul. Legionów i Hetmańską; pośrodku również Jan, ale III Sobieski, z buławą w rękę, na koniu w galopie, a w perspektywie piękny gmach Teatru Wielkiego. Na placu Mariackim stoi kolumna Adama Mickiewicza; piękne budynki – dziedzictwo kultury wielu narodów, tworzonych przez wieki pod rządami władców polskich. Na placu Bernardyńskim – na wieży kościelnej stary zegar, przyjaciel „bernardyn” z czarną tarczą, głębokim dźwiękiem wybijał godziny, wyprzedzając o pięć minut wszystkie miejskie zegary.

*(...) Czy też pamiętasz stary mój zegarze,
jak w słońce twojej tarczy patrzył żak
i marzył o czym ja dziś marzę?
Pamiętasz jeszcze?
O, tak, o tak, o tak!*

*Ode dnia do dnia, od chwili do chwili
żyliśmy życiu mądrymu na wspak,
Godziny marły, a myśmy liczyli
Szczęście na wieczność...
O, tak, o tak, o tak!**

* *Bezgrzeszne lata* – Kornel Makuszyński

„Kilka okruchów jednego życia” to subiektywna retrospekcja, skromny przyczynek do minionej epoki.

Ks. Józef Pyrek SDS

SZAFARZ WIEDZY I PROMOTOR WARTOŚCI Profesor Marek Eminowicz 1933–2013

Pragnienie doskonałości

Jednym z najważniejszych i najgłębszych pragnień człowieka jest pragnienie doskonałości. Pragniemy przede wszystkim tego, żeby bliskie nam osoby: rodzice, siostry i bracia, inni krewni, koleżanki, koledzy, byli w swoim człowieczeństwie, we wszystkich swoich relacjach z nami, w relacjach z innymi i we wszystkich sprawach życiowych – ludźmi bliskimi ideału człowieczeństwa. Podobnie pragniemy i oczekujemy tego, żeby bliskimi ideału człowieczeństwa byli ludzie pełniący wielorakie obowiązki i zadania społeczne: nauczyciele, wychowawcy, lekarze, inżynierowie, politycy, a także wszyscy inni ludzie pełniący ważne dla społeczności ludzkich zadania. Zadania konieczne i pożyteczne. Zadania, od których zależy wartość życia tych wspólnot ludzkich i wartość życia poszczególnych ludzi.

Podążanie ku doskonałości

Kierując się pragnieniem doskonałości, chcemy być osobiście doskonałymi i równocześnie chcemy tego, żeby inni ludzie, zwłaszcza ci, z którymi spotykamy się codziennie, byli również ludźmi doskonałymi. Zatem pragniemy tego, żeby doskonałe było ich myślenie, ich sposób życia, ich sposób działania. Z reguły z pragnieniem tym łączy się bardzo ściśle pragnienie tego, żeby każde nasze i ich dzieło świadczyło o naszej dojrzałej osobowości, o naszych talentach i zaletach, które plonują cennymi dla nas wszystkich owocami, czyli pragnienie, żebyśmy byli w pełnym tego słowa znaczeniu twórcami, a wyniki naszego działania, każdy tego działania owoc, zasługiwał na nazwę *opus perfectum* (dzieło doskonałe).

Jeśli cenimy prawdę, rzeczywiste dobro i rzeczywiste piękno, jedną z największych, najcenniejszych i najpiękniejszych pochwał jest stwierdzenie, że ta oto kobieta jest idealną matką, ten oto mężczyzna jest idealnym ojcem, idealnym nauczycielem, profesorem, lub ktoś inny doskonałym lekarzem, dzien-

nikarzem albo też doskonałym stolarzem, szewcem, przedstawicielem doskonałym tej oto profesji, tego oto zawodu.

Ta egzystencjalna i filozoficzna refleksja niech będzie wstępem do wspomnienia profesora Marka Eminowicza, jego osoby i tego, co czynił. Spotykając się z nim przez wiele lat i niekiedy z nim podróżując, widziałem w nim człowieka niezdolnego do tolerowania bylejałości i nijakości. Widziałem człowieka wrażliwego na prawdziwe piękno. Człowieka ceniącego przejrzystość i wyrazistość etyczną i moralną nie tylko swej osoby i swej osobowości, ale ceniącego także przejrzystość i wyrazistość etyczną i moralną każdej innej osoby i osobowości.

Charakterystyka duchowości profesora Marka Eminowicza

Spotykając się z nim przy różnych okazjach, niekiedy odwiedzając go w jego mieszkaniu, zwłaszcza podróżując z nim i z wielu innymi osobami, umacniałem się w przeświadczeniu o wielkiej wartości prawdziwego piękna i prawdziwego dobra, ale też o wartości tego wszystkiego, co może być lekceważone lub niedocenione, jest jednakże dla człowieka cennym dobrem albo nawet wartością konieczną.

Medytując nad tymi sprawami, dochodziłem do wniosku, że jest naszą ludzką powinnością podejmowanie starań, które mają na celu eliminowanie z życia wszelkiej brzydoty i równoczesne podejmowanie działań zmierzających do promowania dobra i piękna, do promowania wytrwałej pracy nad sobą. Pracy, której celem jest doskonałość własnej osoby i doskonałość innych. Doskonałość wyrażająca się w postawie duchowej, w stylu życia i w czynach.

Postawa życiowa Marka Eminowicza, jego słowa i czyny, były dla mnie zachętą do wytrwałego pełnienia tych zadań, które miały swoje źródło w otrzymanym od Boga powołaniu.

Bezcennym dobrem, którym się chętnie dzielił, była jego wiedza w szerokim zakresie znajdująca swój wyraz w doskonałej znajomości dziejów Polski i wielu innych krajów, wiedza dotycząca kultury oraz bogate doświadczenie dotyczące roztropnego odpowiedzialnego kierowania istotnymi sprawami życia ludzkiego, doświadczenie dotyczące ludzkich pragnień, dążeń i działań.

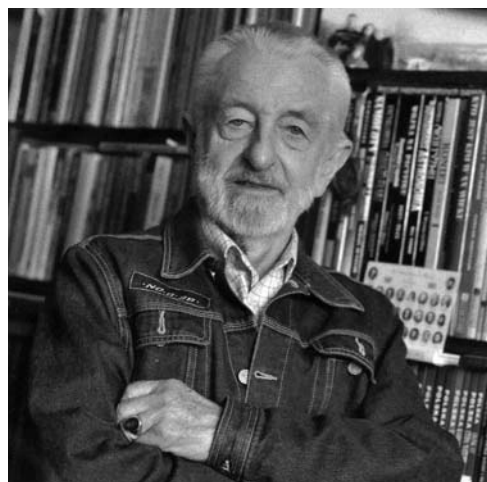
Bogata osobowość

Moje wspomnienia o Marku Eminowiczu wiążą się w sposób szczególnie z Kamieńcem Podolskim, z moimi tam pobytami, z rozpoznaniem i przeżywaniem dziejów tej kresowej twierdzy, z podziwem dla dzieł przyrody tam obecnych i dla dzieł ludzkich tam dokonanych. Cenne były dla nas, dla grup odwiedzających miejsca historyczne tego miasta i twierdzy, podawane przez niego w sposób interesujący, precyzyjny i wyważony wiadomości, spostrzeżenia, opowieści.

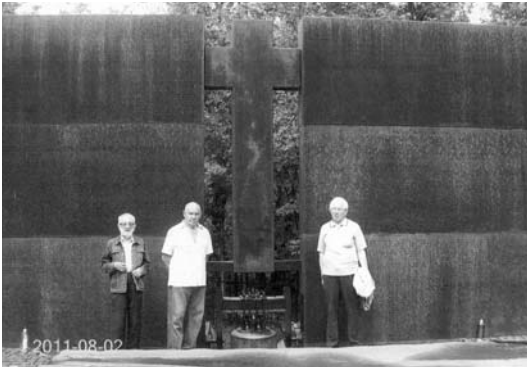
Radowaliśmy się razem z nim dziełami odbudowy tego, co było piękne, imponujące, zostało jednak zniszczone, zrujnowane w sposób barbarzyński. Radosne było dla nas także to, że w odbudowę dzieł architektury i w odbudowę innych dzieł dziedzictwa religijnego i kulturowego są często zaangażowani Polacy, że czynią to kompetentnie, że jest to owocne dla życia religijnego, dla kultury, a także dla dobrosąsiedzkich kontaktów i relacji Polaków z innymi narodami.

Radowało nas między innymi dzieło odbudowy dawnego kościoła i klasztoru dominikanów w Kamieńcu Podolskim, którego podjęli się polscy paulini. W sposób budzący podziw dzieło to przywraca piękno i użyteczność obydwu obiektów. Pragnę dodać, że dane mi było także widzieć dzieło odbudowy kościoła w Truskawcu przez polskich redemptorystów. Podobnie mogłem zobaczyć dzieło odbudowy ogromnego kościoła w Berdyczowie przez polskich karmelitów bosych.

Marek Eminowicz był człowiekiem wielu talentów i wielu umiejętności, w tym umiejęt-



Marek Eminowicz



ności bardzo przydatnych w życiu codziennym. Najwyraźniej można je było dostrzec w czasie wypraw turystycznych i pielgrzymek, przy czym precyzyjne przygotowanie planu wyprawy i dbałość o jego wykonanie mimo zdarzających się i trudnych do przewidzenia niespodzianek umiejętności te ukazywały i uwydatniały.

O tym, jak doskonałym jest mówcą, mogłem się przekonać przy różnych okazjach, zwłaszcza zaś w czasie moich uroczystości jubileuszowych w moich rodzinnych Raclawicach (gmina Jerzmanowice Przegonia pod Krakowem), gdzie było mi dane obchodzić 50-lecie święceń kapłańskich w październiku 2006 roku. Było wówczas rzeczą miłą dla parafian i dla mnie także to, że zauważył i docenił piękno tych okolic, piękno zabytkowego modrzewiowego kościoła, piękno strojów zespołu regionalnego i piękno jego występu.

Talenty i umiejętności Marka Eminowicza, a także talenty i umiejętności jego przyjaciół, Andrzeja Jełowickiego i Jana Robotyckiego, mogłem poznać i podziwiać w czasie wielkiej i bardzo patriotycznej – nie waham

się tak jej nazwać – wyprawy turystycznej i zarazem pielgrzymkowej w dniach 23 lipca – 10 sierpnia 2011 roku z bardzo bogatym programem. Plan przewidywał liczącą 5390 km podróż samochodem przez Słowację, Rumunię i Ukrainę, przy czym w sposób szczególny uwzględniał odwiedzenie wielu miejsc i miejscowości na Bukowinie i na terenach Zakarpacia. Były to miejsca związane z dziejami Polski, w tym miejsca, gdzie dotąd mieszkają Polacy. Z miejsc historycznych pragnę wymienić i wskazać Rarańczę, Rokitną, Mohylew Podolski, Jampol, Batoh, Kowel, Rawę Ruską, Żółkiew, Rudki, Sambor, Chyrów i przede wszystkim Lwów. Nadto miejsca o szczególnym znaczeniu dla dziejów Polski współczesnej: Starobielsk, Piatichatki, Bykownia, Zasmyki, Poryck. Na grobach polskich żołnierzy i polskich męczenników były składane kwiaty i zapalane znicze, krzyże i pomniki opasywane białoczerwoną wstęgą. Zawsze też wspólnie się modliliśmy w tych miejscach i – jeśli było to możliwe – odprawialiśmy mszę świętą. Polegli żołnierze i pomordowani Polacy byli przez nas polecani Bożej dobroci codziennie. Przede wszystkim w codziennej mszy świętej i – jak wspominałem – przez modlitwę w miejscach, gdzie ginęli i gdzie zostali pochowani lub upamiętnieni przez krzyż lub pomnik.

Dla mnie osobiście wyprawa ta była szczególnym darem Boga, który został mi udzielony przez Marka Eminowicza, Andrzeja Jełowickiego i Jana Robotyckiego. Mogłem codziennie podziwiać kunszt organizacyjny tych ludzi i umiejętności praktyczne. Szczególne moje uznanie budziło ogromne – moim zdaniem – przedsięwzięcie, jakim było zgromadzenie i opracowanie obfitych materiałów historycznych, geograficznych i kulturowych przez Andrzeja Jełowickiego. Dotyczyły terenów, miejsc i miejscowości, które odwiedzaliśmy. Pan Andrzej wykazał



Przed kolegiatą w Żółkwi

się również wielkim kunsztem jako kierowca samochodu, którym podróżowaliśmy. Jan Robotycki był naszym bardzo rzetelnym skarbnikiem. Wszystkiemu patronował, planując między innymi i przygotowując codziennie posiłki, Marek Eminowicz.

Niech pamięć o nim wzmacnia nas duchowo. Niech pomaga pielęgnować patriotyzm i troszczyć się o konieczne człowiekowi wartości.

Pełny, autorski tytuł wspomnienia brzmi: „Hojny szafarz rzetelnej wiedzy i wytrwały promotor koniecznych człowiekowi wartości”.

Ks. JÓZEF PYREK SDS, ur. 1932 w Raclawicach k. Krakowa (gmina Jerzmanowice-Przeznica). Nauka szkolna w Raclawicach, gimnazjum Salwatorianów w Krakowie, mała matura 1948. W tymże roku wstąpił do nowicjatu Zgromadzenia Salwatorianów w Bagnie k. Wrocławia, pierwsze śluby zakonne 1949. Od tego roku nauka w salwatoriańskim liceum ogólnokształ. w Mikotowie na G. Śląsku. Matura eksternistyczna zdana w 1951 przed komisją w kuratorium w Krakowie (państwo nie uznawało wtedy szkolnictwa zakonnego). 1951–56 studia filozoficzne i teologiczne w Studium Generalnym oo. Dominikanów w Krakowie. Święcenia kapłańskie w 1956, po nich jeszcze rok studiów pastoralnych *Tirocinium*. Od 1960 pełnienie obowiązków ojca duchownego w salwatoriańskim seminarium w Bagnie (troska o życie duch. kleryków i rozwój ich powołania zakonnego i kapłańskiego). 1967–71 studia teologiczne magisterskie o kierunku katechetyka w Akademii Teologii Katol. w Warszawie. Od tego czasu praca duszpasterska w Trzebnicy i równoczesne dojazdy do Bagna na zajęcia z katechetyki. W 1999 przeniesiony z powrotem do Krakowa do pracy wydawniczej nad pismem „Salwator”, wznowionym po dłuższej przerwie. Przez wiele lat publikował artykuły i różne teksty w „Gościu Niedzielnym”, „Przewodniku Katolickim”, „Homo Dei” i in. Ponadto opublikował kilka książek i współpracował z innymi autorami w wydaniach książek o charakterze religijnym.

Od redakcji na marginesie: w nrze 5/13 tygodnika „W sieci” znajdujemy interesujące nas wspomnienie prof. Andrzeja Nowaka, w którym żegnając śp. profesora Marka Eminowicza, przedstawia jego niezwykle ciekawy i barwny życiorys. Dowiadujemy się m.in., że ormiańska rodzina Eminowiczów przybyła do Lwowa w 1628 roku.

POEZJA

Jadwiga Sibiga

Z tomiku „Wiersze” (2011) –
pamięci Drogiej Pani Jadwigi

Wiosna niedaleko

Spójrz na niebo, ma kolor błękitu,
już z południa powracają ptaki,
świat się stroi w zieleń i kwiaty,
bo już wiosna niedaleko.

Spróbuj oczy przymknąć na chwilę
i myślami przenieść się do Lwowa,
ujrzysz wiosnę, która nam się śniła
taka lwowska, bajecznie kolorowa.

Bo tam inaczej słońce grzeje
i przebiśniegi kwitną najwcześniej
już Pohulanka się zieleni
i tak wiosennie w całym mieście.

Kupimy fiołki na placu Antoniego,
taki mały bukietek pachnący,
Łyczakowską pójdziemy obok siebie,
a przed nami Miasto w słońcu.

Spójrz na niebo, ma kolor błękitu
już z południa ptaki powracają,
świat się stroi w zieleń i kwiaty.
Bo już wiosna nadchodzi z nadzieją,
Bo już wiosna...

Kiedy powrócę

Kiedy powrócę w rodzinne strony
będzie wiosenny poranek majowy,
rosą umyję stopy strudzone,
w szepcie modlitwy pochylę głowę.

Jeśli powrócę wśród lata może,
w samo południe lipcowe, gorące,
spoczną wśród drzew ogrodu
i chwalić będą ich cień kojący.

Gdyby jesienią wrócić mi trzeba,
jesień powita mnie w szacie złocistej,
wieczorna pieśń, co leci ku niebu,
zbołałe serce ukoi najciszej.

A choćby zimą wśród mroźnej nocy
odnajdę miejsca znajome,
gwiazdy mi w drodze poświecą
i zaprowadzą do domu.

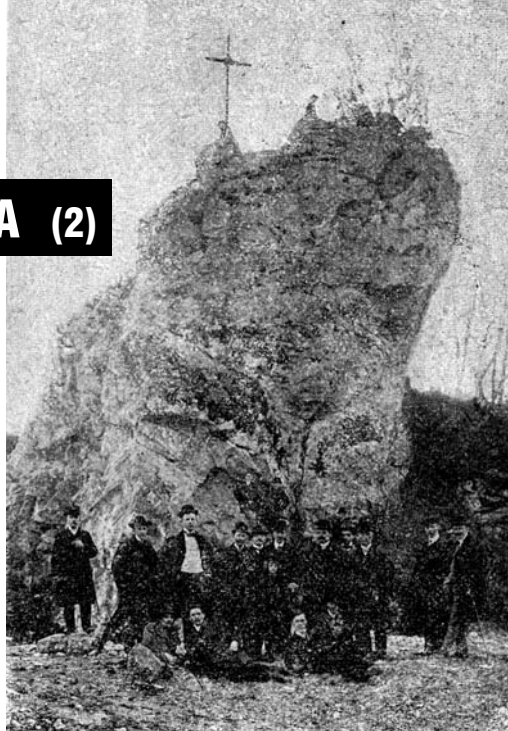
Franciszek Jaworski

CZARTOWSKA SKAŁA (2)

Również i sama nazwa tego uroczyska podniecała fantazję romantyków lwowskich z pierwszej połowy dziewiętnastego wieku, napelniając także zgrozą pobożne właścicielki całego obszaru w osobach lwowskiego konwentu Benedyktynki. Dlaczego właśnie „czartową” miała być ta skała, skąd jej takie bezbożne miano? I tutaj właśnie można zaobserwować bardzo ciekawe zjawisko, jak daleka była od życia i od otoczenia grupa Niemców, nadających ton ówczesnemu Lwowowi. Bo przecież pierwszy lepszy chłop z Lesienic byłby wytłumaczył tę nazwę w sposób, dla gadki ludowej, stanowczy i jasny. W czasach kiedy Lucyfer z diabłami niższej rangi chodził sobie jeszcze swobodnie po świecie, a nawet okazywał się głupszym od niejednego wieśniaka, były takie figle i czartowskie psoty na porządku dziennym. Brał czart „kamyczek” i dla zabawy, może dla sportu, rzucał nim na drugiego diabła, swego zawodowego kolegę. Co diabłu „kamyczek”, to człowiekowi wielka skała. A czasami „kamyczek” upadł sobie gdzieś przypadkowo i został osamotnioną skałą, o której dziecko każde wie przecież, że to czartowska sprawa

Mogło i tak być, że nieczysty duch czasami się zgniewał, coś mu tam przyszło do łba rogatego i począł się biesić. Toż on wtedy drzewa wydzierał z korzeniami, na rozstajnych drogach wicher skręcał w diabelskie młyńce, a gdy się zapamiętał, to skały wydzierał i nosił je. Nosił a składał na jedno miejsce, aż się całkiem umęczył i uspokoił. Ot i cała geneza nazwy Czartowskiej Skały, do której szanowny profesor Łomnicki, znany i wytrwały geolog, dodać może jeszcze określenie, kiedy mniej więcej te figle diabelskie poruszyły okolicę późniejszej wioski Lesienic – w epoce dyluwialnej, czy też denudacyjnej.

Ale wieszczom lwowskim geologia z folklorem nie wystarczały wcale. Oni musieli się jeszcze skompromitować zupełną ignorancją historii. Wsiadł więc niejaki F.K. Salomon w roku 1822 na pegaza, który lekkością swoją i powiewnymi loty przypomina trochę persze-



rońskie konie od wozów meblowych i popelnił ponurą balladę o Czartowskiej skałe. Czego tam nie ma w tej balladzie, którą następny inny jakiś wieszcz lwowski przyswoił literaturze polskiej! Na Czartowskiej skałe „wnosi swe czoło Igora gród dawny” otoczony przez „posępne dęby”. W nim mieszkał Igor okrutny, co „nie ukłękał przed cnoty obliczem”, a obok brat jego Wołodar, który miał znowu ten wypadek, że „srogo mu serce zranił wdzięk niewieści”. Rana była tak ciężka, że „nasz rycerz wzdychał bez ustanku, czuł niepokoje i słodkie boleści”. Była to jednak całkiem po prostu „Adela słynąca z czarownej ponęty”, do której Wołodar przez kilka zwrotek ballady przemawia stylem kochanków z *Nowej Heloizy*, pojmuje ją w małżeństwo, co znowu nie podoba się Igorowi. Potem kielbasi się wszystko w prawdziwą „Mordgeschichte”, w której „dziki Tatar z kozakami w znowie”, jakiś syn Igora, Fedor, ba nawet księżę węgierski Rakoczy niepoślednią grają rolę. Kończy się wszystko zamordowaniem kochanka Wołodara, w tym chyba celu, aby osamotniona Adela mogła pójść „klasztorne łzami zlewać mury”, a morderca Fedor pod Buskiem i Glinianami w wojnie z Rakoczym odpokutować swe winy. Naturalnie „zdradny Igor rzuca się wściekły na skał urwiska, ze zamkowej wieży”, a nieprzyjaciele burzą zamek cały, tak że nawet kamień nie pozostał na kamieniu.

O ile jednak ten domorosły Walter Scott był o tyle oryginalny, że niewinne skały zaludnił czuлыми kochankami i zbrodnią, o tyle drugi wieszcz lwowski, który kilkadziesiąt lat później opiewał dzieje Czartowskiej Skały, nie zadał sobie nawet tyle fatygi, aby się zdobyć na samoistny pomysł. Oto w 36 zwrotkach, drukowanych na ciepłym papierze „Przyjaciela Domowego”, opowiedział tę samą historię, tylko innym, więcej bohaterskim wierszem, nadając bohaterom tym samym inne, już w sentymentalnym stylu swojej epoki, imiona. Wołodar nazywa się u niego Bojanem, czuła Adela Budziślawą, Fedor Teodorem, a resztą ta sama mordercza historia, z tymi samymi nonsensami i niedorzecznościami.

Obok poezji stanęła godnie również i historiografia lwowska. Słynny „historyk” i „heraldyk” lwowski, którego dzieje życia i prac opisał niedawno szczegółowo dr Ostaszewski-Barański – ów Ludwik Zieliński, co bez zająknięcia potrafił na żądanie odnaleźć dyplom Kazimierza Wielkiego, nadający danej osobie tytuł hrabię (!), ten „literata” w dawnym lwowskim tego słowa znaczeniu, oglądając Czartowską Skałę „od stóp do głów”, rzekł w swoim piśmie „Lwowianinie”: *To ruiny pogańskiego zamku, przed r. 800 ery chrześcijańskiej, stawiane go na on czas, gdy miano zwyczaj w skałe wykawać lub z nieociosanych brył kamieni mieszkania stawiać.*

Kiedy tak „historycy” i „poeci” lwowscy wypowiadali swoje ostatnie słowo nad Czartowską skałą, znajdowała się ona pod najczulszą opieką ksieni lwowskiego konwentu Benedyktyn, nazwiskiem Kuhn. Sielankowa ta ksieni wypisała w roku 1834 cały tomik niemieckich wierszy (*Lemberg schoene Umgebungen*) na cześć Czartowskiej skały, na jej szczycie wystawiła „świątynię muz” czy „świątynię Apollina” dla wygody wycieczkowiczów. Ta świątynia muz była po prostu altanką ze szpiczastym dachem i niewielką werandą, ale zawsze świadczyła bardzo dodatnio o zmyśle estetycznym ksieni, która dla amatorów pięknych widoków wystawiła jeszcze wygodne bariery i schody aż na sam szczyt skały.

W tych też czasach Czartowska Skała była najulubieńszym miejscem wycieczkowym lwowian. Roilo się tedy od wycieczkowiczów, a omnibus, który podówczas kur-

sował między Lwowem a Winnikami, ułatwiał znacznie komunikację. Należało nawet po trosze do dobrego tonu mieć na stole u siebie lub na komodzie błyszczące barwą bursztynu kamyki z Czartowskiej Skały, które chętnie rozdawali robotnicy, pracujący przy kamieniołomie.

Kamyki te, różne odmiany i formy wapienia, różowiły się czasami krwią ludzką, gdyż rabulistyczny sposób wydobywania kamienia i nieostrożne obchodzenie się z prochem przy rozsadzaniu skał kosztowały niejedno życie ludzkie. Jeżeli więc kiedy Czartowska Skała usprawiedliwiała swe piekielne miano, to wówczas gdy huk pękających skał i oblatywanie rumowiska tyle wywoływało poetycznych uniesień u ksieni Kuhn.

Ale nie tylko ksieni Kuhn szukała w fantastycznych kształtach Czartowskiej Skały i na pobliskim folwarku lesienickim sielanki śpiewnej i rozkosznej, z dała od chóru zakonnego i monotonnych brewiarzów. W naszych już bowiem czasach mówiono dużo o innej sielance, w której rolę pasterki z niezwykłym powodzeniem odgrywała siostra Kolumba, kiedy indziej znowu staruszki zakonne tam resztę dni swoich spędzały na łaskawym chlebie. Sielance bowiem razem z całym obszarem Czartowskiej Skały należą, już od siedemnastego wieku począwszy, do lwowskiego konwentu Benedyktyn, któremu je wniosła w posagu założycielka klasztoru Katarzyna Saporowska.

Dla starszych generacji zakonnych jednak była „Czartowska Skała” znacznym utrapieniem, a to z powodu opryszków i rozbójników, którzy w jej grotach i złomach mieli siedliska i grasowali po starym trakcie glińskim. Jeszcze by mogła ta skała wspomnieć nieco o przeciągających pod jej stopami wojskach kozackich i tatarskich, które opodal, na gruncie krzywczyckim, oznaczonym po dziś dzień na mapach jako „Tabory”, stały obozowiskiem. Był zresztą jeden „wycieczkowiec”, który wśród największej śnieżycy przepędził dzień cały na Czartowskiej Skale, ale to stało się jeszcze w roku 1695, więc i wycieczka miała zgoła inne cele, aniżeli dzisiejsze spacerki. Właśnie bowiem wówczas rozeszła się po Lwowie wieść o nadciągającej hordzie Tatarów, a hetman Jabłonowski, dowódca siły zbrojnej lwowskiej, wypatrywał stamtąd, którymi szlakami pójdzie nieprzyjaciel i z której strony najpierw

łuna gorejących wiosek zaznaczy krwawą jego drogę.

Skoro jednak mowa o pożarach, to nie zawadzi wspomnieć, że był jeden pożar w ubiegłych wiekach, który w związku z Czartowską skałą odbił się fatalnie w badaniach nad początkiem Lwowa i jego założeniem. W roku mianowicie 1259 miasto Chełm nawiedzone zostało tak strasznym pożarem, że jak powiada najstarszy ruski kronikarz i „ze Lwowa patrzący widzieli łunę od wielkiego ognia”. Jest to pierwsza historyczna wzmianka o istnieniu Lwowa, a na jej podstawie rozumował śp. prof. Szaraniewicz, że pierwotny, najstarszy Lwów leżeć musiał na Czartowskiej Skale, gdyż byłoby to jedyne miejsce we Lwowie najwyższe, skąd by można było widzieć łunę tak odległego pożaru. Hipoteza ta, na tak kruchych podstawach oparta, nie mogła się ostać. Zarzucił ją i sam prof. Szaraniewicz, a inni historycy wykazali, że to niekoniecznie z samego miasta czy zamku musiano pożar widzieć. Kto sobie poszedł za miasto, gdzieś na wyniosłe miejsce i tam zobaczył łunę, to z największą racją mógł powiedzieć, że pożar był widzialny przecież ze Lwowa.

Kwestia jednakowoż, czy na „Czartowskiej Skale” nie stał dawnymi czasy jakiś zamek, zajmowała długo romantyczne umysły z pierwszej połowy ubiegłego stulecia. Naturalnie bzdury lwowskich poetów nie mogą być brane w rachubę, jest jednak jedno świadectwo brzmiące dość wiarygodnie. Wspomniana mianowicie ksieni Kuhn opowiada o koleżance zakonnej, jakiejś Gertrudzie, która żyjąc z końcem XVIII wieku, jakoby widziała na „Czartowskiej Skale” resztki murów i zwaliska jakiegoś zamku. Jeśli to nie fantazja historyczki, to by można przypuścić, że poprzedni właściciele „Czartowskiej Skały”, zanim jeszcze przeszła ona na własność konwentu, posiadali tam jakiś zameczek lub strażnicę.

Jakkolwiek się jednak miały rzeczy w przeszłości, to w niczym to nie zmienia stanu obecnego, że „Czartowskiej skały” grozi zagłada. Jeśli tak dalej pójdzie z kamieniołomami tamtejszymi, to już za lat kilka będzie ona należeć do rzędu wspomnień. A szkoda!

Szkoda miejsca pięknego, na którym krzyż ostatnio zatknęła lwowska „Gwiazda” i tablicę pamiątkową wmurowała – tablicę rozbity przez wroga i znowu wmurowaną.

Szkoda „Czartowskiej Skały”.

SYLWETKI

Ksiądz Adolf Sigmund

Poniższe wspomnienie ukazało się przed 80 laty w „Lwowskich Wiadomościach Parafialnych” nr 15 z 1933 r., co trzeba wziąć pod uwagę czytając pierwsze zdania tekstu.

Gdy przed kilku tygodniami czytelnicy nasi czytali artykuł ks. Adolfa Sigmunda, proboszcza parafii św. Elżbiety we Lwowie, pt. *Wspomnienia z roku 1863/64*, nie przypuszczali, że tak rychło czytać będą jego nekrolog. Mimo bowiem sędziwych lat (ur. w roku 1857), tyle w sobie posiadał młodzieńczego wprost temperamentu, tyle zadziwiającej werwy, tak liczne zainteresowania, że patrząc na tę czerstwą postać, można mu było wróżyć jeszcze wiele lat dobrego zdrowia.

Zmarł nagle i na taką śmierć był zawsze gotowy. Lekki przebieg ostatniego niedomagania uważał za sygnał śmierci, toteż z całą świadomością, rządząc do ostatniej chwili parafią – do śmierci się przygotowywał i na jej wypadek wydał najbardziej szczegółowe zarządzenia.

Urodzony w Kłudzienku, pow. Żółkiew, jako syn zarządcy majątku. Do gimnazjum uczył się we Lwowie. Po skończeniu Seminarium Duchownego we Lwowie wyświęcony został na kapłana w roku 1880. Pierwsze trzy lata pracował jako wikary w Brodach, przez następnych 12 lat był wikarym przy kościele św. Marcina we Lwowie. Połowę swego duszpasterskiego życia (26 lat) spędził jako proboszcz w Baryszu i dziekan buczacki. Pamięta go całe Podole, a jeszcze lepiej on całe Podole pamiętał, wspominał i o nim opowiadał.

Przez ostatnich 15 lat, od października 1918 roku, by probosz-



czem parafii św. Elżbiety, pierwszym proboszczem, który to szczegół polecił umieścić nawet na swoim nagrobku, postawionym przed paru laty na cmentarzu Janowskim.

Naprawa poszarpanych granatami murów kościoła, urządzenie skweru naokoło kościoła, elektryczny zegar na wieży, nowa ambona, największe w Polsce organy, budowa monumentalnego wielkiego ołtarza – oto owoc ostatnich lat życia zmarłego Proboszcza, w czasach wyniszczenia parafian przez wojnę, w czasach powszechnego zubożenia i ogólnego kryzysu.

A ponadto praca duszpasterska, do której stawał w pierwsze niemal szeregi, z budującą gorliwością, z całym poświęceniem.

Odnaczony w ostatnich latach godnością honorowego kanonika Kapituły lwowskiej, był ponadto Radcą Kurii, honorowym obywatelem miasta Barysza, członkiem czynnym lub honorowym wielu товариств dobroczynnych, naukowych lub kulturalno-oświatowych.

Liczne rzesze wiernych, jakie wzięły udział w ostatniej wędrówce Zmarłego na cmentarz Janowski, okazały zastęp Duchowieństwa świeckiego i zakonnego z ks. abp. Twardowskim, ks. inf. Zajchowskim i Kapitułą na czele – świadczy wymownie o popularności śp. Zmarłego oraz szacunku, jakim był powszechnie otaczany. Niech spoczywa w pokoju.

STEFAN WOJCIECH NOWOTYŃSKI

Urodził się w 1922 roku w Warszawie, był synem oficera Wojska Polskiego, co miało decydujący wpływ na jego patriotyczne wychowanie. Do czerwca 1939 r. Stefan ukończył szkołę podstawową i 4 klasy Gimnazjum im. K. Szajnochy we Lwowie, uzyskując tzw. „małą maturę”. Po wybuchu wojny zgłosił się jako ochotnik do służby zabezpieczenia zaplecza i w czasie oblężenia Lwowa przez wojska niemieckie służył jako amunicyjny w oddziale artyleryjskim bezpośredniej obrony miasta.

Ojciec przedostał się do Rumunii, a następnie do Francji pod rozkazy gen. Sikorskiego. Pozostała we Lwowie matka pracowała w szpitalu jako pielęgniarka.

Do roku 1941 uczęszczał do 8 klasy szkoły średniej, w latach 1941–1944 ukończył zaś jedyną dla Polaków Szkołę Techniczną we Lwowie, z dyplomem technika budowlanego. Został wówczas skierowany do pracy w Dyrekcji Kolei Wschodnich we Lwowie.

Już od roku 1941 zaangażował się w pracę konspiracyjną Armii Krajowej, składając żołnierską przysięgę na placówce Sułkowszczyzna w pow. Mościska. Jako kolejarz mógł poruszać się po Generalnej Guberni i przewoził konspiracyjnie broń, lekarstwa

i pieniądze dla Inspektoratu Lwowskiej Armii Krajowej. Brał też udział w zabezpieczaniu polskich wsi w rejonie Mościsk przed nacjonalistycznymi bandami UPA, a w czerwcu 1944 roku w akcji „Burza” we Lwowie.

W grudniu 1944 roku został aresztowany przez NKWD na podstawie donosu sąsiada Ukraińca. Znajomość języków niemieckiego i rosyjskiego pozwoliła mu przetrwać więzienie, gdyż władze więzienne wykorzystywały go jako tłumacza. Z więzienia został zwolniony z powodu gruźlicy. Przy pomocy kolegów kolejarzy przedostał się do Polski. Zaraz po wojnie rozpoczął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim na Wydziale Leśnictwa. W 1948 roku podjął studia na Wydziale Inżynierii Łądowej AGH w Krakowie.

W 1952 roku uzyskał dyplom mgr inżyniera budownictwa i został skierowany do pracy w PBM Nowa Huta. W latach 1953–



–1987 pracował na budowach Nowej Huty w charakterze kierownika budowy i inspektora nadzoru. Ponieważ nie wyraził zgody na przynależność do PZPR, dalszy awans zawodowy nie był w tym czasie możliwy.

Za swoją sumienną pracą zawodową i społeczną został odznaczony licznymi medalami i odznakami.

W 2007 roku został wybrany prezesem Okręgu Światowego Związku Żołnierzy AK Lwów. Pomimo ciężkiej choroby uczestniczył aktywnie w życiu kombatanckim. Brał też czynny udział w działalności Krakowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich,

zawsze pamiętając o dewizie Leopoldis Semper Fidelis.

Za zasługi w walce o niepodległą Polskę został odznaczony przez Prezydenta L. Kaczyńskiego Krzyżem Kawalerskim OOP, a także Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem AK, Medalem Wojska (Londyn), Odznaką Akcji „Burza”, Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem II Obrony Lwowa, Odznaką i Patentem Weterana. Awansowany przez Ministra Obrony Narodowej na stopień kapitana.

Zmarł po ciężkiej chorobie we wrześniu 2012 r. Został pochowany w asyście wojskowej i pocztów sztandarowych Armii Krajowej. Urnę z prochami kapłan posypał ziemią przywiezioną z Cmentarza Orląt Lwowskich.

Z TAMTEJ STRONY

ROCZNICA POWSTANIA STYCZNIOWEGO WE LWOWIE

W ostatnich dniach stycznia odbyły się we Lwowie uroczystości związane ze 150. rocznicą Powstania Styczniowego 1863 roku. Przedstawiciele polskiego Konsulatu Generalnego oraz przybyli z Warszawy i innych miast parlamentarzyści, przedstawiciele Prezydenta RP i dowództwa Garnizonu Warszawa, członkowie ROPWiM i innych struktur państwowych złożyli wieńce i kwiaty na grobach Poległych na Górcie

Powstańczej oraz na innych grobach Powstańców na Cmentarzu Łyczakowskim, w tym przy pomniku Artura Grottgera. Wieńiec złożono również na płycie grobu Nieznanego Żołnierza na Cmentarzu Obrońców Lwowa 1918 roku.

W Katedrze łańciskiej ks. bp. Leon Mały odprawił solenną mszę św., w czasie której odczytano list Prezydenta RP.

* * *

Po uroczystościach spotkano się w salach Konsulatu RP, gdzie przedstawiciel Prezydenta RP udekorował Osoby szczególnie zasłużone w działaniach na rzecz zachowania polskiej świadomości historycznej, polskich pamiątek i tradycji narodowych oraz kultury i słowa polskiego. Odznaczenia otrzymali:

Teresa Dutkiewicz, wiceprezes Federacji Organizacji Polskich nU – Krzyż Oficerski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polski,

Jan Franczuk, prezes Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi we Lwowie – Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi RP,

Teresa Tetrycz, prezes oddziału w Mościskach Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej.

Zarząd Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wschodnich oraz Redakcja kwartalnika „Cracovia–Leopolis” składają wszystkim trzem Państwu bardzo serdeczne gratulacje i życzenia dalszych sukcesów i satysfakcji w pracach dla Pamięci i Społeczności Polskiej, a także zdrowia i sił do pokonywania wielu trudności w życiu zawodowym, społecznym i prywatnym.



Organum zawsze pamięta

W „Biuletynie” krakowskiego Klubu Inteligencji Katolickiej z grudnia 2012 umieszczono sprawozdanie z wyjazdu chóru „Organum” na Ukrainę w październiku 2012 r.

Poniżej obszernie fragmenty sprawozdania pt. „Dni Papieskie Jana Pawła II na Ukrainie” autorstwa prezesa chóru Ireneusza Chrenkoffa... Cztery koncerty, trzy msze św., trzech konsuli opiekunów – w dwie doby od 19 do 21 października 2012 roku...

(...) W naszej pamięci pozostają dwa szczególne miejsca – Szaróweczka, przedmieście dużego miasta Chmielnicki. Specjalnie dla nas przebył 150 km zaprzyjaźniony ks. biskup Leon Dubrawski, Członek Honorowy naszego chóru. Jak powiedział: – *Gdy Organum jest na Ukrainie, muszę się z nim spotkać i posłuchać, zwłaszcza gdy występuje również pani Łucja Czarnačka, sopran, i Zespół Ricercar.* Ks. biskup wciąż wspomina swój udział w Galowym Koncercie Kolęd w Krakowskiej Filharmonii przed dwoma laty.

Drugim wyjątkowym miejscem był Gródek Podolski – prawdziwa oaza polskości posiadająca dużą 3-oddziałową szkołę polską wybudowaną w 2002 roku jako dar Narodu Polskiego dla Rodaków na Ukrainie, a której fundatorem było Stowarzyszenie Wspólnota Polska. W szkolnej izbie pamięci Pani Wicedyrektor przybliżyła nam historię tego miejsca, narodową i religijną.

W Gródku, w kościele św. Stanisława, przed licznie zgromadzoną publicznością odbył się dwugodzinny koncert, poprzedzony mszą św. Kościół ten od roku 1991 jest wciąż w budowie, a wznoszony jest na miejscu doszczętnie zniszczonego w latach 30. XX wieku kościoła będącego fundacją rodziny Zamoyskich. Jak zwykle o polskości tych rejonów świadczą przykościelne cmentarze parafialne, pełne zapomnianych nagrobków z polskimi inskrypcjami z prośbą o westchnienie, pamięć i modlitwę...

Jak podkreślił Konsul Generalny RP w Winnicy Krzysztof Świderek, swoistym osiągnięciem w szerzeniu polskiej kultury stał się występ chóru w Starokonstatynowie w miejscowym Budynku Oficerów, gdzie ra-

zem z 700 mieszkańcami miasta (głównie młodzieżą szkolną) przywitał nas serdecznie burmistrz Mikołaj Melnychuk. Pierwszy raz w tym miejscu i takiej oprawie zabrzmiały pieśni religijne i uczczono pamięć Jana Pawła II.

W trakcie bardzo napiętego programu pobytu znalazł się również czas na wyjazd do Satanowa, dawnej rubieży wschodniej RP, spacer po moście na granicznej rzece Zbrucz.

Satanów jest również dużym, choć niestety zaniedbanym ośrodkiem sanatoryjnym z żelazowymi źródłami leczniczymi, które smakowo nie przypadły nam do gustu.



Ostatnim akcentem była niedzielna msza św. i koncert w kościele św. Wojciecha w Felsztynie. Jest to najładniejszy barokowy kościół na całym Podolu, starannie odrestaurowany w czasach wolnej Ukrainy. Przez długie lata był magazynem pobliskiego kołchozu, ale to już przeszłość. W Felsztynie, jak w większości katolickich kościołów, parafie prowadzą polscy księża, liturgia odprawiana jest po polsku, chociaż wierni już tego języka nie używają...

W drodze powrotnej ku granicy Lwów oglądano tylko z obwodnicy.

W ten sposób chór „Organum” z oficjalnym tytułem „Papieski chór” czcił pamięć o Janie Pawle II w małych, a równocześnie największych skupiskach Polaków na Podolu.

Być może za rok podobny wyjazd będzie powtórzony.

DTS

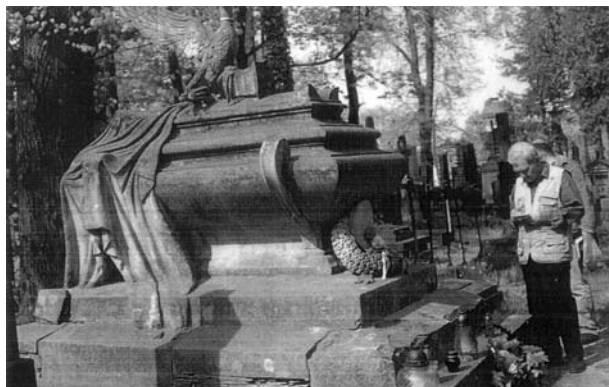
ŁYCZAKÓW KROK PO KROKU

Odwiedzając Cmentarz Łyczakowski natrafiamy na Kwaterę Żelaznej Kompanii (Powstańców Listopadowych). Widzimy osiem odnowionych obiektów, stanowiących cenne pamiątki historyczne, a także kilka innych, rodzinnych. Tu przedstawiamy 16 fotografii wybranych obiektów przed i po dokonaniu prac renowacyjnych, wyjaśniając zarazem zakres wykonanych robót, bardziej lub mniej daleko idących, w zależności od stanu tych obiektów.

Wybierając, brano pod uwagę: • wartość architektoniczną i stan obiektu oraz • względy historyczne odnośnie do tła czasowego i pochowanych osób.

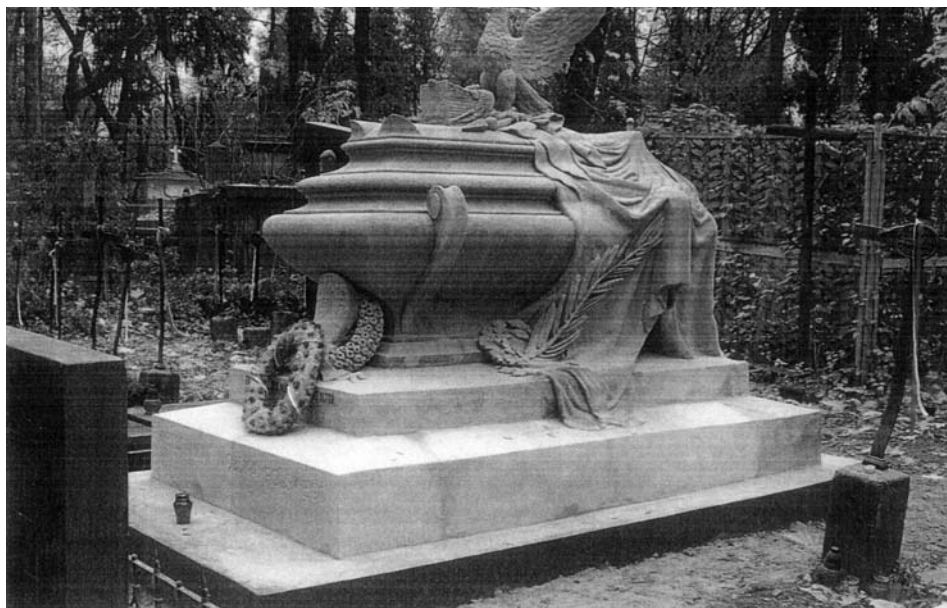
Stanisław Czerny

Przed renowacją



Fragm. przed renowacją

Najważniejszym obiektem w tym zbiorze zdjęć jest Pomnik Chwały, będący centrum Kwatery Żelaznej Kompanii, w formie kamiennego sarkofagu, zwieńczonego rzeźbą orła z rozpostartymi skrzydłami. Renowacja stanowiła remont kapitalny. Wycięto drzewo, rozsadzające fundamenty, a te uzupełniono, wymieniono kilka kamiennych bloków. Orłowi przywrócono odłamaną głowę, uzupełniono skrzydła, wykonano jeszcze szereg drobnych robót. Odnowiono napisy.



Po renowacji

Nagrobek Franciszka Zaremby, żołnierza Kościuszki, wielkopola-
nina, zmarłego
w 112 roku życia
(1863). Roboty jw.



Przed renowacją



Po renowacji



Przed renowacją

Zespół nagrobków powstańców z 1830 r.:
Jana Granatowskiego,
Hieronima i Maksymiliana
Kunaszewskich, Ludwika
J. Skolimowskiego. Roboty
jw. Pomiędzy wymienio-
nymi nagrobkami odnowio-
no wejście do Kwatery
Żelaznej Kompanii:
wyrównano teren, dojsięce
wybrukowano kostką.



Po renowacji

Przed renowacją



Tu spoczywa
JÓZEF CZUŁOWSKI
Rotmistrz wojsk polskich
żołnierz Napoleona 1808
w bitwie pod Somosierra
adjutant Dziewanowskiego
Pokój jego cieniom!



Po renowacji

Nagrobek żołnierza Napoleona (z bitwy pod Somosierrą, 1808 r.), rotmistrza Józefa Czulowskiego. Odkopano i podbito fundamenty, uzupełniono ubytki kamienia, oczyszczono całość, odnowiono napisy.

Przed renowacją



Nagrobek Karola Baczyńskiego, powstańca 1863 r. Ustawiono zwalony kamienny krzyż. Inne roboty jw.

Po renowacji

Przed renowacją



Po renowacji

Grobowiec rodziny Prawdź-Zaleskich. Skuto zniszczone tynki i wykonano nowe. Oszklono latarnie. Inne roboty jw.

Grobowiec rodziny Dębkowskich. Roboty jw.

Przed renowacją



Po renowacji

Grobowiec rodziny Wierzbickich. Roboty jw.

Przed renowacją



Po renowacji

W Krakowie i dalej

NOWY ZARZĄD ODDZIAŁU TMLIKPW W KRAKOWIE

19 października 2012 r. odbyło się zebranie wyborcze Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, na którym wybrano nowy, 11-osobowy Zarząd Oddziału na kadencję 2012–2016:

PREZYDIUM ZARZĄDU

Adam Gyurkovich, Prezes
Stanisław Czerny, Wiceprezes
Edward Adles, Skarbnik

Anna Madej (Klub Tarnopol), Sekretarz Zarządu
Krystyna Stafińska (Klub Stanisławów), Członek

REDAKCJA „CRACOVIA-LEOPOLIS”
Andrzej Chlipalski

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Ryszard Defort
Ryszard Kucala
Urszula Kogut
Zdzisława Stopczyńska
Barbara Szumska

ZASTĘPCY CZŁONKÓW

Anna Stengl
Anna Hoszowska-Baron
Barbara Olasińska

W nrze 73/02 powyższa lista została wydrukowana z błędem, za co przepraszamy p. Dzikę Stopczyńską, Zarząd i Czytelników.

JERZY ZMARŁ PRZED DZIESIĘCIU LATY

13 kwietnia 2003 r. odszedł do Pana **JERZY MASIOR**, doktor medycyny, wspaniały działacz środowiska wygnańców z Małopolski Wschodniej, prezes Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Nowym Sączu.

We wspomnieniu, które zamieściliśmy w naszym kwartalniku nr 2/2003, napisaliśmy:

Trudno się z tą śmiercią pogodzić. Śp. Jerzy Masior należał do czołowych postaci naszej społeczności expatriantów, był jednym z jej duchowych przewodników.

Człowiek o wielu talentach, niezwyklej charyzmie i niespożytej energii. Jego liczne zasługi i sukcesy zostaną opisane przez wielu, których Jego śmierć pogrążyła w ogromnym żalu. I my do nich należymy.

Urodził się w 1924 r. w Chodorowie, wychował we Lwowie. Ukończył studia medyczne we Wrocławiu. Przez wiele dziesięcioleci pracował jako lekarz w Nowym Sączu. Tam tworzył swoją poezję, piosenki i rysunki, uczył młodzież polskiej historii Ziemi Wschodnich, organizował zespoły artystyczne. Pomagał Polakom za jaltańskim kordonem.

Drogi Jerzy! Pozostaniesz dla nas postacią legendarną, niezapomnianą i niezastąpioną. Cześć Twojej pamięci!



*Chodorów
17 07 1993*

*Tamto miasteczko serene jak gołębka,
męczetne lotom w lipcowe południe -
ulice krótkie niż jedno mieszkanie,
w ogorzłym lato jak kompas złudzenia.*

Rysunek i wiersz Jerzego Masiora, 1993

Most na rzecze w obrębie Nowego Sącza



POZNAŃSKIE NAGRODY SEMPER FIDELIS

Z Oddziału Poznańskiego TMLiKPW otrzymaliśmy pismo o treści następującej:

Podczas tegorocznych Dni Lwowa i Kresów w Poznaniu – podobnie jak w latach ubiegłych – zostanie wręczona wybranej osobie Statuetka Lwa, która jest odzwierciedleniem nadania honorowego wyróżnienia *Semper Fidelis*. Statuetka, którą wykonał artysta-plastyk Jarosław Labiedź, nawiązuje formą do lwów, jakie stały przed wojną na Cmentarzu Obrońców Lwowa przed Pomnikiem Chwały.

Laureatami wyróżnienia nadawanego w Poznaniu są ludzie wybitnie zasłużeni, obywatele RP lub posiadający Kartę Polaka, którzy przyczynili się do:

- ratowania Dziedzictwa Narodowego,
- upamiętniania Miejsc Pamięci Narodowej,
- niesienia pomocy Polakom i ich potomkom, którzy pozostali na terenach dawnej RP,
- przekazywania wiedzy o terenach i bohaterach, a także prawdziwej historii Kresów,
- dokumentowania szczegółów historycznych niezbędnych dla wiedzy naszego i następnych pokoleń.

Wyróżnienie ma na celu uhonorowanie osób, które w szczególny sposób dały dowody wierności Ziemi Kresowej. Materialnym elementem wyróżnienia jest posążek Lwa, symbolu Miasta Lwowa – miasta *Semper Fidelis*. W latach 2007–2012 wyróżnieni Statuetką zostali: ś.p. min. Andrzej Przewoźnik, ś.p. prof. Andrzej Stelmachowski, prezes Szczepan Siekierka, ś.p. przewodniczący Koła Bukaczowczan Tadeusz Tomkiewicz, prof. Stanisław S. Nicieja oraz Emilia Chmielowa.

Poprzednio kandydatury do tego wyróżnienia zgłaszane były przez członków Oddziału Poznańskiego TMLiKPW. Decyzję o jego przyznaniu, po uprzednim rozpatrzeniu zgłoszonych propozycji przez powołaną kapitułę, podejmował Zarząd Oddziału. Od ub. roku osoby, które otrzymają Lwa w czasie kolejnych Dni Lwowa i Kresów w Poznaniu, wybierane są spośród kandydatów zgłaszanych przez szersze gremium. Zwracamy się przeto z uprzejmą prośbą do osób, którym drogie są Lwów i Kresy, aby przysyłali na nasz adres swoje propozycje kandydatów do wyróżnienia – wraz z uzasadnieniem. Wszelkie wnioski kierować można do nas listownie lub drogą elektroniczną do końca maja br.

Hanna Dobias-Telesińska

Adres pocztowy: Towarzystwo Miłośników Lwowa i KPW, Oddział w Poznaniu
CK Zamek, 61-809 Poznań, ul. Św. Marcin 80–82, p. 336.

Adres internetowy: poznan@lwowiacy.pl

LISTA OFIARODAWCÓW (9)

na wspomnienie wydawnictwa kwartalnika CRACOVIA–LEOPOLIS

Jan Białowąs, Końskowola; Zofia Dudrówna (dwukrotnie), Kraków; Alicja Graszewska, Kraków; Grażyna Golińczak, Toruń; Małgorzata Nowak, Warszawa; Ewa Solecka-Wojtyczka, Rybnik; Barbara Paleczek, Wrocław; Anna Pawlak, Toruń; Danuta Różycka, Kraków; Jan Szajner, Wrocław; Janusz Tittenbrun, Opole; ks. Tadeusz Tomasiuk (dwukrotnie), Dokudów; Teresa Wojciechowska, Kraków; Aleksander Zadorecki, Olsztyn; Darczyńca Anonimowy.

Składamy serdeczne podziękowanie w imieniu Redakcji i Czytelników.

KULTURA NAUKA

Spotkaliśmy się we Wrocławiu

Z początkiem marca odbyła się we Wrocławiu uroczystość, połączona z sesją panelową, z okazji przyznania dr. Tadeuszowi Kukizowi – w uznaniu Jego dokonań w upamiętnieniu polskości na Ziemiach Wschodnich – medalu „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, przyznawanego przez Ministerstwo Kultury i DN. Sesja zgromadziła kilkudziesięciuosobowe grono osób, głównie



Dekoracja dra Kukiza



Dr Tadeusz Kukiz



Uczestnicy wrocławskiego spotkania. W rzędzie (od lewej): dr J. B. Koss, ks. prof. J. Pater, ks. J. Marecki. Przed nimi p. Kukizowa, za nimi A. Chlipalski i dr D. Nespiak (częściowo zastonięta)

związanych z Kresami ludzi kultury, nauki, działaczy. Po dekoracji dr Kukiz wygłosił podziękowanie, które przytaczamy:

Rad jestem, że Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego uznało, iż zasłużyłem na odznaczenie medalem o jakże pięknej i wymownej nazwie „Gloria Artis”. Cieszy mnie też, że uroczystość odbywa się w murach mej ulubionej Biblioteki Ossolineum.

Moje dość liczne, wieloletnie zainteresowania pozazawodowe obejmowały także historię Kresów, głównie miejscowości, z którymi związana była rodzina – zwłaszcza z Łopatynem w woj. tarnopolskim. Gromadziłem więc materiały i informacje do ich dziejów, zamierzając o nich napisać.*

Kiedy jednak w połowie lat 80. kustosz sanktuarium w Wójcicach koło Otmuchowa, gdzie przechowywany jest obraz MB Łopatynskiej, przygotowywał uroczystość koronacji tego wizerunku i zwrócił się do mnie o napisanie dla wiernych popularnego tekstu o dziejach obrazu – odmówić nie mogłem. Rozpytując dawnych mieszkańców i dokonując kwerend w kościelnych archiwach i bibliotekach zorientowałem się, że obrazów Maryjnych przywiezionych po drugiej wojnie światowej ze świątyn na Kresach do Polski w nowych granicach jest wiele. Nie miałym trudem dokonali tego duszpastry i wierni. Temat ten tak mnie zafrapował, że swój pierwotny zamiar napisania o „rodzinnych” miejscowościach odłożyłem na później. Uznałem bowiem, że trzeba się śpieszyć z zebraniem informacji o tych obrazach, póki jeszcze żyją niektórzy świadkowie tamtych wydarzeń.

Prawie w każdy weekend i podczas urlopów jeździłem, często z Żoną, do miast i wsi, o których już wiedziałem, że znajdują się tam obrazy Maryjne z Kresów, i poszukiwa-

tem osób, które mogły znać okoliczności ich przywiezienia. Zebrane i opracowane wywiady, uzupełnione danymi historycznymi, Żona przepisywała na maszynie. W wyniku tych działań w latach 1997–2002 ukazała się seria 6 tomów pt. „Madonny Kresowe”, licząca łącznie blisko 1500 stron i opisująca losy około 140 wizerunków.

Ktoś powiedział, że osób zasługujących na odznaczenia jest wiele, mało natomiast takich, które chciałyby podjąć stosowne działania, by do tego doprowadzić. Ja miałem szczęście... Moje publikacje dostrzegł pewien działacz szerzej nieznanego Stowarzyszenia „Strażnica Kresowa” i zainteresował nimi odpowiedni Urząd. Ów działacz jest tu wśród nas – to p. Maciej Wojciechowski z Krakowa. I Jemu, i Ministerstwu Kultury i Dziedzictwa Narodowego pragnę serdecznie podziękować. A Państwu dziękuję za przybycie.

Po uroczystości nastąpiła sesja, w której wystąpili: europoseł prof. dr Ryszard Legutko, ks. prof. dr Józef Marecki z Uniwersytetu Jana Pawła II w Krakowie oraz Stanisław Srokowski, pisarz.

Głównym *leitmotivem* wystąpienia pierwszego dyskutanta, prof. Legutki, był problem powołania Muzeum Kresów Wschodnich. Naukowe i ekspozycyjne ich upamiętnienie niezbędne jest dla pełnego obrazu historii i kultury I i II Rzeczypospolitej. Mimo że – jak stwierdził Profesor – wrzesień 1939 roku stanowił kres Kresów – dziejów Polski bez nich nie można sobie wyobrazić. Powstało tam bogactwo kultury materialnej i duchowej i stamtąd pochodzą jej najwybitniejsi polscy przedstawiciele. Konsekwencje polityczne II wojny światowej wykreśliły geograficzny obszar polskich Kresów, a przekaz ich dziejów jest nieobecny w zakresie podstawowej edukacji w szkolnictwie.



Pan S. Srokowski (po prawej) i p. Paweł Kukiz

Kolejny dyskutant ks. prof. Marecki swoje wystąpienie, oparte na gruntownej znajomości tematu, poświęcił skomplikowanej przez niełatwe doświadczenia współczesnej sytuacji Kościoła rzymskokatolickiego na byłych Kresach II RP. Współpraca między obydwooma obrządkami – rzymskokatolickim i greckokatolickim w państwie ukraińskim, gdzie nie znikają pojawiające się od lat przeszkody przed podejmowaniem tzw. trudnych tematów – nie czyni tej współpracy łatwą. Przynosi ona nikłe owoce, czego klasycznym już przykładem jest sprawa zwrotu kościoła św. Marii Magdaleny we Lwowie. Znacznie życzliwiej, co jest pewnym paradoksem z uwagi na dramat rzezi na Wołyniu, który



Prelegenci, od lewej: prof. R. Legutko, Stanisław Srokowski, ks. prof. Józef Marecki

w odróżnieniu od Małopolski Wschodniej był obszarem prawosławia – układają się relacje z Cerkwią prawosławną. Nie burzy tego życzliwego stosunku fakt jego podziału na Cerkiew autokefaliczną, patriarchat kijowski czy moskiewski.

Trzeci dyskutant, S. Srokowski, jest znany jako pisarz. Jest m.in. autorem eposu kresowego *Repatrianci*. Zabierając głos sięgnął do przemilczanego świata etosu i wartości, którą ukształtowała polska kresowa rodzina chłopska, związana najmocniej z ojczystą ziemią i wiarą. Omawiając polską religijność i kulturę ludową na Kresach, nawiązał również do tragicznych dziejów rodzinnych na Ziemi Tarnopolskiej, gdzie przeżył śmierć najbliższych z rąk ukraińskich sąsiadów. Echa tego dramatu znajdują się też w w poezji Srokowskiego.

Danuta Nespiak

W maju dr Tadeusz Kukiz został uhonorowany po raz drugi – przez Instytut Pamięci Narodowej. Kapituła Nagrody „Kustosz Pamięci Narodowej” przyznała Mu to odznaczenie, a uroczystość odbyła się na Zamku Królewskim w Warszawie. Gratulacje po raz wtóry!

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 Nie mogę ostatnio uwolnić się, a może wcale nie chcę, od **Karoliny Grodziskiej**. Niedawno wrzuciłem się nad wydaną przez nią książką opowiadającą o tragicznej postaci młodego lwowiaka Stanisława Gottfrieda. To młody, nieszczeniście zakochany w pannie Reichertównie, rokujący duże nadzieje poeta, a książka o nim to *Stanisław Gottfried (1892–1915), lwowski poeta Młodej Polski* (wybór i opracowanie: Karolina Grodziska i Alina Trzcionkowska, Kraków 2011). Dobrze farba nie wyschła w tej książce, a na księgarskich półkach ukazał kolejny opasły tom autorstwa Karoliny *Krakowianki zapomniane. O niezwykłych paniach pochowanych na cmentarzu Rakowickim 1803–1920* (Kraków 2011). Można znaleźć tam informacje o wielu postaciach – nie tylko kobietach, wszak obok pań pojawiali się zazwyczaj ich rodzice, bracia, mężowie, kochankowie czy przyjaciele – związanych ze Lwowem lub Kresami. Zaledwie skończyłem ją czytać, a dotarła do mnie kolejna rzecz pióra Karoliny Grodziskiej: ***Listy, liście, wspomnienia... Z dziejów lwowskich rodzin Reichertów, Peterów i Negruszów*** (Kraków 2012). We wstępie autorka pisze, że ta książka stanowi efekt blisko dziesięcioletniej wędrówki po archipelagu rodzinnych papierów i uzupełniających je wspomnień.

Dokumenty przewiezione ze Lwowa do Krakowa czy Wrocławia i Gliwic, w powojennej rzeczywistości i wobec upływu lat coraz mniej istotne – jak coraz mniej realny stawał się powrót do rodzinne-

go miasta – stopniowo tracące znaczenie, zsyłane do piwnic i na strych, rozdzielane i przejmowane z mieszkań, których też już nie ma, bo ich mieszkańcy odeszli, a tylko my jeszcze potrafimy odtworzyć w pamięci tamte wnętrza, by trafić do biblioteczek i szuflad z papierami... To dzięki takim autorom, historykom jak Karolina Grodziska odkurzone dokumenty, ale i wspomnienia rodzinne przemawiają ponownie, odzyskują należną im wagę i rangę. I jak tu nie kochać Karoliny!?

Sam tytuł mówi, o czym – a właściwie o kim – jest książka. Pragnę też uprzejmie donieść Czytelnikom, że autorka po każdej swej książce zażegnuje się, iż jest to ostatnia, jaką poświęca swym przodkom, bliższej i dalszej rodzinie. Mam nadzieję, iż są to czcze obietnice, bo czekają na opracowanie kolejne lwowskie rodziny. Ale nie tylko. Myślę, że i cmentarzom lwowskim, jak i bibliotekom czy wydawnictwom należy się w końcu solidne naukowe opracowanie, a to tematyka będąca w zakresie zainteresowań dr Karoliny Grodziskiej. A było ich sporo, tylko czy istnieją jeszcze jakiekolwiek materiały archiwalne?

O czym jest książka Karoliny Grodziskiej, każdy powinien przekonać się sam. Czyta się ją jak powieść sensacyjną czy romans... Wszak przewijają się przez jej karty losy kilku kresowych, lwowskich rodzin. Wielkie dramaty, miłości, pasje... A wszystko dzieje się na przestrzeni jakże burzliwych czasów, noszących też znamiona jakże złudnej chwilowej stabilizacji, ck Austrii, I wojny światowej (w przyszłym roku przypada rocznica 100-lecia jej wybuchu), spokojniejszych czasów II Rzeczypospolitej, a wszystko zwieńczone dramatem II wojny światowej, po której opisywane rodziny Negruszów, Peterów i Reichertów wszystko muszą zaczynać od zera, oswajając obce miasta, obce domy w nowej – też obcej – Polsce Ludowej. Nie mam tyle miejsca, by choćby w zarysie opowiedzieć o losach opisywanych rodzin.

Uwagę czytelnika musi przykuć bogaty wybór fotografii. Zawsze oglądając takie biograficzne kresowe książki, zastanawiam się skąd, jakim cudem ci ludzie ocalili z wojennej pożogi tyle rodzinnych pamiątek?! Im więcej czytam o przeszłości, tym bliżsi stają mi się ludzie z tamtego wymiaru czasu. Czasem budzę się ze snu, w którym kręci się tyle



obcych, ale nie wiadomo dlaczego bliskich osób. Potem wydaje mi się, że to znajomi z kart książek. Niby senna mara, ale... Ich postępowanie, namiętności prawie niczym nie różnią się od współczesnych nam problemów. Tak dalecy, a jakże bliscy...

Zachwycimy się też szatą graficzną książki przygotowaną przez znanego artystę plastyka Władysława Plutę. Elementy zielnika (czy dzisiaj ktoś z młodych ludzi wie, jak wygląda zielnik?) wplecione w listy czy karty dziennika – toż to edytorskie mistrzostwo świata przecież! Nie tylko piękne, ale i przypominające o tym, że między karty *tabebuchów*, do listów wsuwało się też na pamiętkę a to kwiat (dowód miłości?), a to liść unikatowej rośliny albo np. klonu, pod którym skradło się dziewczynie pocałunek...

A kiedy już zamknie się książkę Karoliny Grodzkiej, opanują czytelnika wspomnienia z własnej przeszłości. Niejednemu iza w oku się zakręci, niektórzy sięgną po pióro, pewniej po komputer, by zanotować swe wspomnienia, inni zadzwonią do przyjaciół, by wspólnie wspominać przeszłość. By jednak tak piękne chwile przeżyć, trzeba sięgnąć po opisywaną książkę! A ja poczekam na następną opowieść Karoliny Grodzkiej...

Janusz M. Paluch

📖 Znany nam z licznych książek o tematyce *kresowej* red. **Marek A. Koprowski** utrwalił pamięć o legendarnej Polce z Krzemieńca w niewielkiej objętościowo książce-wywiadzie ***Od Humania do Krzemieńca: Irena Sandecka*** (wyd. „Wołanie z Wołynia”, Biały Dunajec – Ostróg 2012). W minionym roku przypadła 100. rocznica urodzin niezżyjącej już Pani Ireny (1912), ale Jej odejście nastąpiło dokładnie 3 lata temu (marzec 2010).

Irena Sandecka urodziła się dużo dalej na wschód niż Krzemieniec (ok. 300 km), na ziemiach ukraińskich, które też kiedyś były nasze, i Polaków pozostało tam po rozbiorach wielu. Kiedy wybuchła rewolucja sowiecka, a traktat ryski oddał tamte ziemie od nowej Polski, trzeba było uciekać. Wraz z setkami Polaków przekroczyła rodzina Sandeckich zieloną granicę, a szukając dla siebie nowego miejsca, osiadła w Krzemieńcu. Tam, z niewielkimi przerwami, spędziła Pani Irena prawie 90 lat.

W Krzemieńcu zdała maturę mając 16 lat. Była za młoda na studia, więc ukończyła miejscowe seminarium nauczycielskie, a zaraz potem rozpoczęła i ukończyła studia na UJ w Krakowie. Potem była jeszcze praca w kilku miejscach, na koniec w Belgii. Wtedy wybuchła II wojna i Irena niezwłocznie wróciła do Polski, do Krzemieńca. Pierwszą okupację sowiecką przetrwała jako pielęgniarka, szwaczka, bibliotekarka, sekretarka... Potem przyszli Niemcy. Wzmogły się akcje banderowskie, rozpoczęte już za sowietów. Głównym problemem stała się pomoc dla uciekinierów z wołyńskich wsi do Krzemieńca i Wiśniowca.

I tak doszło do ponownego wejścia sowietów. Nie było już mowy o oficjalnej pracy nauczycielskiej. Pani Irena została лаборantką w szpitalu i tak zostało do emerytury w 1969 roku. Teraz rozpoczął się nowy okres w Jej działalności. Podjęła szeroką działalność społeczną, związaną z parafią krzemieniecką. Kościół parafialny nie został zamknięty, ale przez lata pozbawiony księdza. Była więc współorganizatorką życia społecznego, organistką, potajemnie uczyła dzieci religii, ale także języka polskiego, polskiej historii i kultury. Księża tam dojeżdżali, a względna normalność nastąpiła dopiero w 1955 roku. Pierwszym legalnym proboszczem został ks. Jakub Macyszyn, do dziś tam serdecznie wspominany. W Krzemieńcu działał przez lat 18, ale nadmiar pracy w kilku miejscowościach Tarnopolszczyzny oraz nieustanne szykany ze strony KGB doprowadziły go do przedwczesnej śmierci w wieku 62 lat. Pani Sandecka była główną współpracowniczką księdza, który nawet zamieszkał w Jej domu*, bo plebania została zabrana**.

Następcami ks. Macyszyna byli ks. Bronisław Marecki, uważany niemal za świętego, potem ks. Marcjan Trofimiak, późniejszy biskup łucki. Z tym ostatnim stosunki społeczności krzemienieckiej docierały się dość długo, z początku nie budził zaufania***.

Parafia w Krzemieńcu cieszyła się dużo większą swobodą niż inne: używanie – mimo



zakazu władz – dzwonu kościelnego, urządzenie imprez ku czci Słowackiego. To były w dużej mierze zasługi „bojowej” postawy I. Sandeckiej. Po rozpadzie bloku sowieckiego była współzałożycielką Towarzystwa Odrodzenia Kultury Polskiej. W sprawie zbrodni ukraińskich była nieugięta.

W nowych czasach zaczęły napływać do Krzemieńca liczne wycieczki z RP. Pani Sandecka stanęła w centrum sprawy propagowania historii i polskości tego miasta. Otwarto wreszcie muzeum Słowackiego w dworku z nim związanym, położono tablicę pamiątkową na dawnym domu Bessera, kontynuowano opiekę nad grobami profesorów Liceum.

Niestety nastąpił okres ukrainizacji**** w kościele, szkole i coraz bardziej w domach. Język polski ograniczono do szkoły niedzielnej, prowadzonej przez Towarzystwo. Bastionem polskości pozostał dom Pani Ireny Sandeckiej. Dom ten zapisała „Wspólnocie Polskiej”. Dożyła 98 lat.

AC

* Był to, jak wiadomo, dawny dom Willibalda (wg PSB – Suiberta) Bessera, który w latach 1809–1833 był profesorem Liceum Krzemienieckiego (ur. w Innsbrucku, wykształcony we Lwowie i Krakowie).

** Podobne zamiary władz sowieckich były wobec kościoła parafialnego, uratował go jednak... pomnik Słowackiego, na którego przeniesienie władze nie mogły się zdecydować ze względów technicznych.

*** Ks. Trofimiak zaczął wprowadzać język ukraiński do liturgii, ale polscy wierni wymusili zaprzestanie.

**** Od lat 1980. pojawili się kolejni księża (Mieszko, Iwaszczak), którzy wprowadzili język ukraiński do kościoła. Podobnie jest w szkołach.

📖 O życiu odważnym i pracowitym, poświęconym służbie Bogu i Ojczyźnie **Abpa Ignacego Tokarczuka** (zm. 29 XII '12) pisaliśmy w poprzednim numerze (CL 1/13). W ostatnim roku Jego życia ukazała się książka pt. **Nie można zdradzić Ewangelii. Rozmowy z Abp. Ignacym Tokarczukiem. Rozmawiał, wstępem i przypisami opatrzył Mariusz Krzysztofiński** (wyd. IPN w Rzeszowie oraz Uniwersytet Papieski JP II w Krakowie), Kraków 2012.

Rozmowę poprzedza wstęp do książki, napisany przez ks. Arcybiskupa. Mówi on

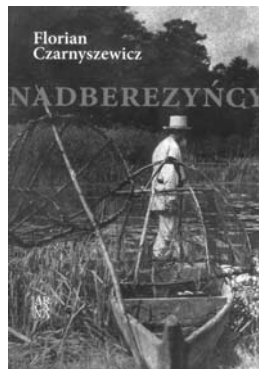
wiele o Autorze, który przez całe życie podążał za Chrystusem i swoje życie kapłańskie budował na wartościach ewangelicznych. Słowa św. Pawła *Nie daj się zwyciężyć złu, ale złu dobrem zwyciężaj* to idea, którą realizował w życiu. Jego dokonanie to budowa wielu kościołów i kaplic w czasach, kiedy władze nie dawały pozwoleń i rzucały kłody pod nogi. Były to zmagania z narzuconym nam komunizmem i ateizmem, walka o suwerenność Polski i wpływ Kościoła na moralną i religijną formację Polaków. To, że udawało mu się realizować swoje plany wbrew otaczającej rzeczywistości, tłumaczy: *Jeśli Bóg wymaga od nas wielkiego czynu, wówczas odnajdujemy w sobie siłę, która zdawała się dawniej niemożliwą.*

Kiedy w 1966 r. obejmował diecezję przemyską, powiedział: *Duszę moją przenika głębokie poczucie pokory, bo przecież, znając swoją słabość i ograniczoność jako człowiek, widzę równocześnie z całą wyrazistością olbrzymie i trudne zadania, jakie przede mną, jako Waszym Biskupem, stoją.*

We wspomnieniach ks. Arcybiskupa przewija się tęsknota za Kresami dawnej Rzeczypospolitej, za rodzinnym Zbarażem i Lwowem, za ukochaną Ziemią Rodzinną, którą musiał opuścić w 1945 roku.

Marta Walczewska

📖 Napisana na emigracji w Argentynie przez Floriana **Czarnyszewicza** książka **Nadberezyńscy** (wyd. „Arcana”, Kraków 2011) to powieść dotycząca życia polskiej szlachty zagrodowej na terenach między Berezyną a Dnieprem w latach 1911–1920. Tytuł książki uzupełnia informacja: *Powieść w trzech osnutach na tle prawdziwych wydarzeń* (nb. owe trzy tomy wydane są w formie jednej, grubej księgi).



W pierwszych słowach Posłowania M. Urbanowski pisze: *Nadberezyńscy Florian Czarnyszewicza to jedna z najważniejszych i najpiękniejszych powieści polskich XX wieku. Zachwycali się nią najznakomitsi krytycy: Melchior Wańkowicz, Michał Kryspin Pawlikowski, Czesław Miłosz, Jerzy Stempowski, Józef Czapski...* „Wystarczyło jednej stronie, abym uległ wpływowi tego narkotyku i przeczytał jednym tchem 577 stronik dużego formatu”, pisał Miłosz. „Wielką książką” nazwał „Nadberezyńczyków” Czapski [...], a M.K. Pawlikowski ocenił ją następująco: „Nadberezyńscy” to najwybitniejsze dzieło Czarnyszewicza. *Epicka, na poły awanturnicza, na poły romansowa opowieść o dramatycznych losach mieszkańców polskich zaścianków położonych między Berezyną a Dnieprem...* Jedna z najważniejszych i najpiękniejszych powieści polskich. „Wojna i pokój” naszych Kresów.

Danuta Trylska-Siekańska

FLORIAN CZARNYSZEWICZ (1900–1964), ur. w okolicach Bobrujska (Rosja, dziś Białoruś). 1921 zamieszkał w Wilnie, 1924 wyemigrował do Argentyny, pracował tam jako robotnik. Zarazem autor czterech wybitnych powieści: *Nadberezyńscy, Wicik Żywica, Losy pasierbów, Chłopczy z Nowoszyszek* (lata 1942–1963).

📖 Można się spierać, czy „**Rocznik Lwowski**” to czasopismo czy dzieło historyczno-literackie. My tradycyjnie wybieramy to drugie, inaczej nie wypada. Tak czy owak wielka satysfakcja ogarnęła wszystkich – redaktorów, autorów, wydawców i nas czytelników, gdy nadeszła wiadomość, że nareszcie nowy, długo oczekiwany numer „Rocznika Lwowskiego” 2010–2011 ujrzał światło dzienne. Nie ma żadnej przesady w tym, co piszemy, bo wydawnictwo to uważamy za najlepsze, najwartościowsze spośród całej ukazującej się w tych czasach literatury poświęconej historii, kulturze i ludziom naszych utraczonych Ziemi południowo-wschodnich.

Poprzedni numer za lata 2008–2009 ukazał się w 2010 r. Od początku, tzn. od 1991 r., wyszło 20 roczników w 15 tomach (w tym 6 podwójnych). Nowa księga ma ten sam co zwykle kształt i wystrój, 308 stron. Zamieszczono w niej oryginalne prace 16 autorów, 8 recenzji oraz 8 kolorowych ilustracji.

Pośród owych 16 zasadniczych prac wyróżniono, jak w dotychczasowych numerach, trzy grupy: 1. rozprawy, szkice, przyczynki historyczne; 2. beletrystyka, wiersze, wspomnienia; 3. Polacy we Lwowie, lwowiacy w Polsce i w świecie. Po tych następuje 4. grupa: recenzje, które dotyczą literatury odnoszącej się do Lwowa i Ziemi PW. Pozycje zawarte w grupie pierwszej świadczą szczególnie o naukowym charakterze Rocznika.

W artykule Pawła* Naleźniaka o więzieniach lwowskich w czerwcu 1941 roku dowiadujemy się (niejako przy okazji), że we Lwowie działały przed II wojną trzy więzienia: „Łackiego” – dla przestępców pospolitych; „Brygidki” (w dawnym klasztorze ss. Brygidek, skasowanym po 1772 r. przez Austriaków) – dla przestępców kryminalnych; „Zamarstynów” (w dawnym klasztorze oo. Misjonarzy, skasowanym jw.) – dla wojskowych.

Po wejściu sowieców do Lwowa w 1939 r. dotychczasowy gmach Miejskich Zakładów Elektrycznych przy ul. Pełczyńskiej (róg Kadeckiej) został przejęty na siedzibę NKWD, a w 1941 r. – gestapo. W długim artykule autor opisuje tragiczną działalność obu najeźdźców na samym styku obu okupacji.

Jurij Smirnow omawia lwowski kościół oo. Jezuitów, jego historię i wystrój artystyczny. W dalszej części książki (III) opisuje kolejne cztery kościoły i kaplice pod kątem ich powojennych losów, ale i tam dowiadujemy się dużo o ich dziejach i wystroju.

Michał Piekarski przedstawia ostatni sprzed I wojny i międzywojenny okres dziejów muzykologii na Uniwersytecie Lwowskim. Padają nazwiska, które znamy także z czasów po II wojnie.

Całkiem nowy stał się dla nas temat omówiony przez prof. Oskara S. Czarnika, będący wspomnieniem o Tymonie Zaborowskim z Podola (1799–1828), poecie – piewcy Miodoborów, patriotcie i romantyku. Jego twórczość poetycka mogła po stu parudziesięciu latach podbudować ducha żołnierzy walczących o Polskę we Włoszech, niestety wtedy właśnie Stalin, Roosevelt i Churchill zdecydowali o naszej klęsce...

Jan Wnęć porusza tematykę dodatków do „Gazety Lwowskiej” z okresu stulecia 1817–1918. Było ich sporo, jednak najważniejsze to *Rozmaitości* (do lat 40. XIX w.) oraz *Przewodnik Naukowy i Literacki* (1883–1919). Ich

celem było m.in. ograniczenie wiedzy i ideologii z czasopism austriackich. Poświęcone były zagadnieniom historycznym i literackim, jak również historii sztuki, psychologii, nauk społecznych, oświaty, teatru itd.

W *Lwowskich Miscellaneach* Janusz Wasylkowski przypomina ciekawe postacie, m.in. prof. Romana Atanazego, oraz związane z nimi życiorysy, wspomnienia, anegdoty.

W drugiej grupie natrafiamy przede wszystkim na uroczę wspomnienie literacko-emocjonalne Leszka Sawickiego** o Haneczce z ulicy Kurkowej. Ponadto wspomnienie Zdzisława J. Zielińskiego o przeżyciach w pierwszym okresie II wojny, króciutkie opowiadanie Jerzego Stokłósy i dłuższe Marka Bernackiego o współczesnej podróży do Stanisławowa. I wiersze: Mariusza Olbromskiego, Waldemara Michalskiego i Jana Skłodowskiego.

W grupie trzeciej wymieniono Bolesława Hadaczka *Dumę o Kresach*. To tekst na wskroś literacki, dlaczego więc nie znalazł się w drugiej grupie? Czytelnicy mogą go przeczytać w niniejszym numerze CL, może więc ktoś zapytać, po co ten utwór pojawia się w tym samym czasie w dwóch czasopismach, które trafiają do tych samych czytelników? To będzie słuszne pytanie, ale tak sobie życzył Autor, a my nie śmieliśmy zaoponować!

Czwarta grupa to recenzje. Omówiono osiem dzieł, z których kilka znalazło się już w naszym kwartalniku (ks. Wołczańskiego, Niciei, Buraczyńskiego, Wasylkowskiego, jednak tu, w Roczniku są potraktowane szerzej i głębiej. Książki dotąd nam nie znane dotyczą socjologii, prawa, dawnej sztuki i architektury.

Z niecierpliwością oczekujemy na kolejny tom „Rocznika Lwowskiego”. Oby stało się to jak najprędzej.

* Imię autora artykułu Paweł na kolejnych stronach u góry zamieniono błędnie na *Piotr*.

** Imię i nazwisko autora Leszka Sawickiego na kolejnych stronach u góry zamieniono błędnie na *Zdzisław J. Zieliński*.

📖 Nie mieliśmy w rękach książki autorstwa **Danuty Adamczyk** pt. ***Polskie społeczne placówki wydawnicze we Lwowie*** (Wydawnictwo Akademii Świętokrzyskiej, Kielce 1996). Ale warto wiedzieć.

Wertując wydawnictwa

➔ W CL 1/13 omówiliśmy numer 39. półrocznika Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa „**Przeszość i pamięć**”, a już dostaliśmy kolejny – 40. z drugiej połowy roku 2012. Numer ma prawie 270 stron dużego formatu (A4), a w nim wielka ilość tematów – artykułów, wiadomości, zdjęć. Trudno wypisywać wszystkie, skupiamy się więc – jak zwykle – na szczególnie nas interesujących.

- Dowiadujemy się więc, że w kwietniu 2012 w Krakowie na budynku Zespołu Szkół Zawodowych nr 1 przy ul. Rzeźniczej odsłonięto tablicę pamiątkową poświęconą śp. Andrzejowi Przewoźnikowi, który do tej szkoły uczęszczał.
- W maju ub.r., po wieloletnich (!) staraniach wreszcie odsłonięto w Podkarmieniu w Tarnopolskiem pomnik Polaków zamordowanych przez ukraińskich nacjonalistów. Współfundatorem pomnika był KIK w Przemyślu.
- Również w maju odnaleziono mogiły żołnierzy WP z 1939 r. w Lasach Janowskich k. Lwowa. Zwłoki zostaną przeniesione na przyszły Polski Cmentarz Wojenny w Malechowie.
- W czerwcu '12 Koło Przyjaciół Brodów z siedzibą w Legnicy przyznało medale pamiątkowe wybite ku czci wybitnego brodzianina, pisarza Józefa Korzeniowskiego (1797–1863).
- W sierpniu przypadła 92. rocznica obrony Polskich Termopil pod Zadwórzem. Z tej okazji odbyła się tam uroczystość, na którą przybyło szereg osób ze Lwowa, z Konsulatu RP oraz z ROPWiM. W obszernym tekście przypominano wydarzenia lat 1920–1925, przede wszystkim Panią J. Zarugiewiczową, symboliczną Matkę Nieznanego Żołnierza, poległego pod Zadwórzem.
- W artykule o Powstańcach Śląskich pokazano zdjęcie tablicy pamiątkowej ochotników kadetów lwowskich, którzy oddali swoją krew w walce o wolność Śląska w III Powstaniu Śląskim.



W dziale *Studia* znajdujemy 32-stronicowy materiał pt. *Za drugiego Sowietu. Pierwszy rok powojennego Lwowa (sierpień 1944 – wrzesień 1945)*, bogato ilustrowany (autor Damian Markowski). Oto pierwsze słowa artykułu:

Lwów – stolica Galicji Wschodniej, w okresie dwudziestolecia międzywojennego największy po Warszawie ośrodek polskiej kultury i nauki, stanowił jeden z warunków sine qua non w polityce Rządu RP przebywającego w Londynie. Miasto, którego powojenny los został de facto przypieczętowany na konferencji „Wielkiej Trójki” w Teheranie, formalnie zostało oddane Związkom Sowieckim latem 1944 r. przez formujące się struktury Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, ciała całkowicie podległego Stalinowi. Jednak w świetle prawa międzynarodowego umowy te były nieważne. Los Lwowa miał się dopiero rozstrzygnąć, a instalujące się weń władze sowieckie przystąpiły do brutalnej sowietyzacji wszystkich dziedzin życia społeczno-gospodarczego...

Potem następują rozdziały: *Powrót sowieckiej władzy, Fałszywa normalność, Polityka mieszkaniowa, Propaganda i ideologia w działaniu, Przeciw religii, Industrializacja, Zwalczanie podziemia, Opór przeciwko wyjazdowi, Ku rozwiązaniom.*

➔ W sobotnio-niedzielnym dodatku *Plus-Minus* do „Rzeczpospolitej” z 9–10 II '13 zamieszczono bardzo obszerną **rozmowę Mazurka z p. Adolfem Juzwenką**, dyrektorem ZN im. Ossolińskich we Wrocławiu. Pierwsza wymiana zdań: – *Kiedy Lwów będzie znów polski?* Odpowiedź: *Ha, życzyłbym sobie, by Lwów był europejski, a droga do Europy wiedzie przez Polskę.* Pytanie: *Dobrze, dobrze, ale kiedy przesuniemy granicę na Zbrucz?* Odpowiedź: *Nie ma granic danych na zawsze i nikt nie wie, jak potoczą się nasze losy.*

Cała długa rozmowa pełna jest zaskoczeń, odpowiedzi rzeczowych i uników. Wypowiedź jedna z ostatnich w tej rozmowie: *Głównie dwa najważniejsze miasta: Lwów i Wilno – oba były centrami polskiej kultury. Czy polską literaturę, sztukę, muzykę można zrozumieć bez Wilna i bez unii z Litwą? Czy historię Polski i jej kultury można napisać*

bez Lwowa? To jest po prostu niemożliwe i to powoduje, że kolejne pokolenia Polaków jadąc tam, czują się jak u siebie.

Inny temat: *Dlaczego zniszczył Pan Wydawnictwo im. Ossolińskich?* Odpowiedź: *Uratowałem je. [...] Zlikwidowałem spółkę, żeby uratować wydawnictwo. Tylko tak można było, zgodnie z prawem, oddłużyć ją, zachować prawa do znaku graficznego i wydawanych tytułów. [...] Właśnie przygotowujemy plan działania w nowej strukturze prawnej. [...]*

ADOLF JUZWENKO, ur. 1934 koło Zaleszczyk. Studia historyczne na Uniwersytecie Wrocławskim. W latach 70–90. działacz opozycji antykomunistycznej. Od 1990 dyrektor Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. Założył we Lwowie ekspozyturę wrocławskiego Ossolineum, umożliwiającą korzystanie przez polskich naukowców ze zbiorów ossolińskich pozostałych we Lwowie.

➔ W tygodniku „W sieci” nr 5/13* znalazł się artykuł A. Guzickiego, zatytułowany *Jak na Podolu rozpętano drugie powstanie styczniowe*, a dotyczący **antysowieckiego zrywu mieszkańców Czortkowa** w styczniu 1940 r. Akcja młodych chłopców została oczywiście stłumiona przez NKWD. Oskarżono 129 młodych powstańców, z czego 28 skazano na śmierć.



W tym samym piśmie, lecz dwa tygodnie później (nr 7/13 z 18–24 II) przeczytaliśmy bardzo ciekawy artykuł K. Utrackiej **o poecie Kazimierzu Wierzyńskim** (1925–1969), urodzonym w Drohobyczu, jednym z najwybitniejszych poetów polskich XX wieku. Powojenne życie spędził na emigracji. Zmarł w 1969 r. w Londynie, ale pochowany został w Warszawie w Alei Zasłużonych na Powązkach. Zawsze tęsknił za Polską, zwłaszcza – jak pisze autorka – za miejsca-

mi dzieciństwa i młodości: Stryjem, Drohobyczem, Samborem, Stanisławowem, Chyrowem...

* Od numeru 10/13 nazwa tego pisma brzmi już „Sieci”.

➔ Krakowski „Dziennik Polski” z okazji swego 68-lecia (?) wydał specjalny dodatek, a nim przedstawił sylwetki wybitnych krakowian, w liczbie 17*. Każdej z owych osób poświęcono rysunkowy portret oraz opowieść o człowieku, jego życiu i działalności, zasługach (głównie dla Krakowa oczywiście), okraszoną porcją anegdotek. **Wśród tych postaci figuruje Stanisław Lem**, który istotnie mieszkał i działał tu w latach powojennych, jednak sam fakt zaliczenia go do krakowian zdenerwował nas niepomnie.

Ale kiedy zabraliśmy się do czytania owego tekstu o pisarzu (autorstwa W. Jurasza), znaleźliśmy tam taki oto passus:

Mimo owych związków geograficzno-meldunkowych łączących Stanisława Lema z Krakowem, autor „Solaris” nie czuł się z naszym miastem szczególnie związany. Znacznie bliższy był mu rodzinny Lwów, skąd wraz z rodziną przyjechał pod Wawel tuż po wojnie. O Lwowie właśnie opowiada jedna z jego niewielu powieści współczesnych, zatytułowana „Wysoki Zamek”. Kraków takiego zaszczoty nie doczekał. Wręcz przeciwnie, w tymże roku, wypowiadając się dla „Dziennika Polskiego” Stanisław Lem stwierdzał wprost: „Ja, żeby pisać, potrzebuję dostępu do literatury naukowej i kontaktów ze światem. Czy mam ten dostęp w Krakowie czy gdzie indziej, nie ma najmniejszego znaczenia. Mieszkałem jakiś czas w Wiedniu, mieszkałem w Berlinie, i wszędzie pisałem tak samo. Ja nigdy w życiu nie byłem w tak zwanej kawiarni literackiej. To znaczy, cenię atmosferę Krakowa o tyle, że to miasto leży daleko od Warszawy...”

* Widocznie nie co rok to prorok, lecz co cztery lata (4 x 17 = 68)!

➔ Pamiętamy, że przed paru laty ukazywało się we Lwowie pod redakcją Bożeny Rafalskiej czasopismo kulturalne „Lwowskie Spotkania”, jednak – jak się okazało – powstały obiektywne trudności, które czasowo uniemożliwiły pracę nad edycją pisma. I tu nagle

niepodzianka: otrzymaliśmy z Przemyśla dwa numery* o dość zmienionym wyglądzie zewnętrznym: lepszy format (A4 zamiast A2**), kolorowa okładka, 70–80 stron. Pismo jest ciekawe, tematyka różnorodna, oczywiście w granicach, jakie wyznacza przede wszystkim szeroko rozumiana ojczysta Ziemia.

Jest to więc najpierw Małopolska Wschodnia, ale także Wołyń (głównie Krzemieniec). Potem jeszcze inne, lecz blisko związane z naszą historią: Ukraina (ta z za Zbrucza), Litwa, odległa Syberia.

Treści artykułów dotyczą rozległej problematyki: historia w szerokim rozumieniu, literatura (poezja, teatr, twórcy), religia (w pierwszym numerze Boże Narodzenie, kolęda), biografie (w tymże o Drexlerach, Cydziku, Sandeckiej), sztuka (historia sztuki i architektury, muzyka, fotografia, ikony). Wszystkie bogato ilustrowane.

Równie bogaty, a może i bogatszy w materiały jest nr 2. Pozytywne dla tego pisma stają się tematyczne zestawy materiałów różnych autorów. Pierwszym z nich jest pięć ogromnie ciekawych artykułów na temat Powstania Styczniowego – to dziś chętnie czytane, bo znajdujemy w tej historii wiele odniesień do współczesności. Dalej zbiór ośmiu opowiadań Krystyny Szwic o Złoczowie pod wspólnym tytułem *W Złoczowie był anioł*. O Antykwariacie Kresowym w Chełmie dwa artykuły i wiersz. Długi artykuł i wiersze o Krzemieńcu. *Legenda o wędrujących krzyżach* spisana przez Mariusza Olbromskiego. Długi artykuł o Wielkim Głodzie na Ukrainie w latach 1932–33. Tematyka lwowska: wielcy twórcy polskiej muzyki, Biblioteka Baworowskich, wiersze Natalii Otko. Wspomnienie o zmarłym abp. Tokarczuku. Ponadto wiersze M. Kopycińskiej-Lehun, a na koniec przegląd książek o tematyce *kresowej*.

* Oba numery zredagowane przez Mariusza Olbromskiego. Redaktorem naczelnym pozostaje B. Rafalska.

** Wcześniej było to pismo w wizualnym charakterze gazety dużego formatu. Zwracaliśmy kiedyś na to uwagę w CL, że w takim piśmie należałoby przejść na format A4 lub nawet B5, co obecnie się stało.



dokończenie z II s. okładki

Umieściłbym te informacje na swojej stronie internetowej (www.lwow.home.pl).

Druga propozycja dotyczy upamiętnienia zmarłych już lwowiaków – stosowna inskrypcja umieszczona na płycie nagrobnej, która informowałaby o tym, że jest to grób mieszkańca Lwowa (czytaj: generalnie „kresów”).

Co o tym sądzicie? Czekam na opinie. Pozdrawiam, Staszek.

List powyższy kierujemy zarówno do Czytelników, jak i do p. Staszka Kosa. Chcemy bowiem przypomnieć, że od kilkunastu lat prowadzimy **Archiwum Wschodnich Małopolan**, gdzie zawarte są wszelkie informacje o byłych polskich mieszkańcach Lwowa i całej Małopolski Wschodniej – zarówno tych rozproszonych po całym świecie, żyjących i już nieżyjących, ich potomstwa, ale i tych, którzy pozostali na rodzinnej Ziemi. Informacje czerpiemy od rodzin i znajomych, z prasy, literatury itd.

Prosimy o nadsyłanie wszelkich informacji o osobach, ich miejscach pochodzenia (miejscowościach), ich działalności i twórczości, fotografie, dokumenty (o ile nie mają już znaczenia dla rodzin). Zwracaliśmy się już parokrotnie do Czytelników w tej sprawie, sporo materiałów nadeszło, ale to wciąż mało, mało...

Zbiór AWM zostanie już niebawem przekazany do jednego z krajowych archiwów lub muzeów.

Z Panem Staszkiem Kosem chętnie wymienilibyśmy uwagi. Informujemy jednak, że nasz stan posiadania to 27 grubych segregatorów literowych (po 1–3 dla każdej litery) i 6 cieńszych teczek (np. Q,X,Y).

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Anna Madej, Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska, Janusz Paluch, Ireneusz Kasprzysiak, Andrzej Chlipalski (red. nac.)
Zasłużeni członkowie redakcji w stanie spoczynku: Romana Machowska, Maria Taszycka, Barbara Kościak

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalniku CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, e-mail: fall@fall.pl

Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzielskiego 1, tel. (12) 413 76 51

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania srodtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

	Ks. Józef Pyrek SZAFARZ WIEDZY I PROMOTOR WARTOŚCI	40
	Poezja Jadwiga Sibiga	
Słowo od redakcji RÓŻNE SPRAWY W CZORAJSZY, DZISIEJSZE I JUTRZEJSZE	WIOSNA NIEDALEKO ♦ KIEDY POWRÓCĘ	43
	II Proza Franciszek Jaworski	
DZIAŁALI DLA DOBRA POLAKÓW I OJCZYZNY (2)	CZARTOWSKA SKAŁA (2)	44
	1 Sylwetki	
Bolesław Hadaczek DUMA O KRESACH RZECZYPOSPOLITEJ	2 KSIĄDZ ADOLF SIGMUND	46
Pamięć o ludobójstwie Ewa Siemaszko ZAPRZECZENIE ZBROdni	6 Maria Korzinek STEFAN WOJCIECH NOWOTYŃSKI	47
Jan Białowąs LEKARZ LUDZKICH DUSZ I CIAŁ	7 Z tamtej strony ROZNIKA POWSTANIA STYCZNIOWEGO WE LWOWIE	48
Antoni Dwojak SMAK BOSKIEJ CZEREMCHY	19 Ireneusz Chrenkoff „ORGANUM” ZAWSZE PAMIĘTA (skrót)	49
Maryla Wolska MAJOWE NABOŻEŃSTWO	21 Stanisław Czerny ŁYCZAKÓW KROK PO KROKU	50
Ryszard Legutko POLSKIE OPowieści	22 W Krakowie i dalej NOWY ZARZĄD ODDZIAŁU TMLiKPW w KRAKOWIE (errata)	54
Historia Anna Borkiewicz-Celińska POCZĄTEK SKAUTINGU NA ZIEMIACH POLSKICH (2)	25 JERZY ZMARŁ DZIESIĘĆ LAT TEMU POZNAŃSKIE NAGRODY „SEMPER FIDELIS”	54 55
Rozmowy Janusz M. Paluch ROZMOWA Z ALEKSANDRĄ SZEMIOTH	29 Kultura SPOTKALIŚMY SIĘ WE WROCŁAWIU Książki ♦ Czasopisma NOWE KSIĄŻKI	56 58
Wspomnienia Remigiusz Węgrzynowicz KILKA OKRUCHÓW JEDNEGO ŻYCIA	37 WERTUJĄC WYDAWNICTWA Lista Ofiarodawców	62 55